AS



Nr. 16
17 KWIETNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

IDĄ ŚWIĘTA



Jak spędzić święta wielkanocne
12 rad Zbigniewa Grotowskiego

1. PIECZENIE BAB. Na święta Wielkanocne trzeba przygotować tyle jedzenia, jakby to była prawdziwa wielka noc polarna. Cia-



sto na święta piecze się w domu. Dzięki temu żona ma przez trzy dni dużo zajęcia. W chwili, gdy poczujemy w domu woń spalenizny, należy czemprędzej zamówić ciasto w cukierni, gdyż najwidoczniej to co się piekło w domu — przypaliło się. W domu jest tylko — piekło.

2. ROBIENIE PORZĄDKÓW. Przed świętami robi się porządki. W tym celu wyrzuca się ze strychu wszystkie graty, z domu



męża, wyrzuciwszy mu przedtem wszystkie jego grzechy. Porządki polegają na robieniu straszliwych nieporządków, z których potem jak świat z chaosu — wyłania się porządek. Twoje papiery i rękopisy możesz łatwo odnaleźć w kuchni, gdzie zabrano je do pieczenia ciasta. Przynajmniej raz w roku na coś się przydały.

3. ZAOPATRYWANIE SIĘ W MIĘSIWO. W tym okresie wszelkie przetwory z nierogacizny mają wielkie powodzenie. Mąż, który o tem zapomniał nie wart jest noszenia rogów. Najlepiej jest mieć własną małą bekoniarnię i sprowadzić sobie parę ładnie utuczonych sztuczek. Zresztą większość żon w tym okresie zaczyna mocno żałować, że nie wyszły zamąż za rzeźników. Po pewnym czasie ty sam zaczynasz żałować, że nie jesteś rzeźnikiem i nie masz pod ręką ostrego noża. W nocy śni ci się „noc długich noży".

4. ZAOSTRZYĆ SOBIE APETYT. Święta Wielkanocne następują po długim poście, w czasie którego należało sobie zaostrzyć apetyt. Najlepiej było wyjechać na okres przedświąteczny do Niemiec. Po powrocie święcone będzie nam podwójnie smakować.

5. NIE ZAPOMINAĆ O NASZYCH WROGACH. — W czasie świąt należy zapomnieć o wszelkich urazach. Trzeba wybaczać naszym największym wrogom. Otóż powszechnie wiadomo, że naszym największym wrogiem jest alkohol. Naprzykład monopolówka jest to wróg Nr. 45, a czysty spirytus wróg Nr. 95 W tych dniach jednak zmierzmy się i zobaczymy, kto kogo powali z nóg.

6. IŚĆ NA ŚLEDZIKA. Nie należy zapominać o tem, że w dni przedświąteczne trze-



ba zajść na śledzika, bo śledzik sam do was nie przyjdzie. Zanim rozbrzmią wielkie dzwony trzeba zadowolnić się małym, kameralnym dzwonkiem śledzia. Śledzik, jak każda ryba lubi pływać. Trzeba go więc popić naszem „płynnem srebrem" czyli wyborową.

7. NAMALOWAĆ PISANKI. Do zwyczajów wielkanocnych należy malowanie pisanek. W Wiedniu najmodniejszym wzorem pisankowym jest swastyka, we Francji sierp i młot. U nas jeszcze niewiadomo co namalować. Najlepiej więc dać dzieciom „pisanki po konfiskacie" czyli całe białe.



8. WYSŁAĆ KARTKI Z ŻYCZENIAMI. Pamiętajmy o wysłaniu kartek z życzeniami. Kartki te należy wysyłać tylko ludziom obojętnym. Nasi wrogowie i przyjaciele wiedzą doskonale, czego im życzymy.



9. ZAPRASZANIE GOŚCI. Na święta wielkanocne spodziewany jest zwykle wielki napływ gości. Gości najlepiej przyjmować chlebem i solą, a potem wręczyć im klucze od bramy, aby mogli łatwo wyjść.

10. WYCIECZKI NARCIARSKIE. Najpopularniejszym sportem wielkanocnym są narty. Młodzież w tym okresie otrzymuje tak





zw. „wakacje zimowe", aby mogła uprawiać sporty.

11. ZWYCZAJE WIELKANOCNE. W pierwszy dzień świąt robi się wielkie „oblewanie" świąt alkoholem. W drugi dzień świąt t. zw. „Śmigus" czyli oblewanie się nawzajem wodą. Zwyczaj ten powstał — jak podaje Kolberg z tego, iż trzeźwiono zimną wodą tych, którzy zbytnio popili sobie w pierwszy dzień świąt.

12. PŁACENIE RACHUNKÓW. Po świętach zaczną zjawiać się dostawcy z dokuczliwemi pytaniami, kiedy im zapłacimy za towary dostarczone na święta. Ponieważ jest to już koniec kwietnia — więc z całym spokojem możemy ich zapewniać — że zapłacimy w... maju.

NUMER POWIĘKSZONY DO 40 STRON

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 2?5 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie ?0 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 16 | **Niedziela, 17 kwietnia 1938** | **Rok IV**

ASY NUMERU 16-GO:





...brakowało narazie tylko kilku pań i dwóch panów... *Rysunek „Esquire"*

Znasz li ten kraj?



ego wieczoru „Liga Narodów" wielkiego hotelu Imperial w St. Moritz znalazła się w kompiecie w dolnym salonie, którego okna wychodziły na wielkie lodowisko. Padał deszcz a na lodowisku stały kałuże wody.

Brakowało narazie tylko pań i dwóch panów. Lady Imgerk pakowała się. Boy hotelowy w odstępach kilkunastominutowych wynosił z jej pokoju małe kufereczki z jasnej skóry. Lady Imgerk odznaczała się bowiem wielką ilością kuferków i trzema psami, które przynosiły zaszczyt rasie selyhamterrier.

Miss Hois kończyła list do narzeczonego i kelner Alois zapewniał, że zejdzie zaraz na herbatę do dolnego salonu.

Przy okrągłym stole siedział z nieodstępnym monoklem w oku wytworny mister Clood, czytając wieczorne wydanie „Timesu". Obok „urzędowały" panie Renard, Van Rot, miss Twotrees i piękna Inez des Los Nevados.

Najwygodniejszy fotel zajął dr. Owsiantkow wraz ze swoją fajką, którą wedle tradycyj rodzinnych jego ojciec otrzymał w darze od wielkiego księcia Mikołaja.

W chwili, gdy do salonu weszła miss Hois, ukończywszy właśnie jedynasty list do narzeczonego, który fabrykował mydło piankowe w San Francisco — przy okrągłym stole, tak zazwyczaj ożywionym, panowała atmosfera dość melancholijna. Lady Imgerk usiłowała z pamięci podać pani Van Rot przepis na oryginalny angielski plum-pudding.

— Zresztą, czy to takie ważne — kończyła podrażniona — no, nie pamiętam! Wielkanoc zresztą nie jest w Anglji obchodzona tak uroczyście, jak Boże Narodzenie.

Pani Van Rot westchnęła z rezygnacją.

— Wielkanoc — podjęła ponownie Lady Imgerk — jest przyjemną, gdy się ją może spędzić na wsi. Od czasu jednak, gdy mój mąż zaczął spekulować na akcjach Toby-Trustu i przenieśliśmy się do miasta, Wielkanoc straciła dla mnie urok.

— Czy plum-pudding również? — spytała słodziutko pani Van Rot.

Lady Imgerk nie zdołała odparować krytego sztychu, gdyż do rozmowy wmieszał się dr. Owsiannikow.

— Moi państwo — odezwał się z za chmury tytoniowego dymu niczem Jowisz.— Cóż wy możecie wiedzieć o wielkanocnych świętach? Na świecie był jeden kraj, gdzie istotnie wspaniale obchodzono te święta, a krajem tym była Rosja cesarska. Moi drodzy, któż opisze te święcone, te prosiaki z chrzanem, te uginające się stoły pod święconem, te wina i wódki, te fenomenalne ciasta!

Mister Clood lekceważąco wzruszył ramionami.

— God save my stomach! Nie rozumiem tego gastrycznego liryzmu. Kuchnia angielska jest obrzydliwą, dlatego też staram się przebywać na wyspie jaknajrzadziej. Nie zauważyłem, aby w okresach świąt wielkanocnych w czemkolwiek stawała się ona strawniejszą. Zresztą któż ma czas myśleć dziś o takich rzeczach...

— No, kończy się sezon, trzeba gdzi wyjechać! — zauważyła miss Twotrees. — U nas w Kalifornji urządzamy w okresi wielkanocnym piękne korsa kwiatowe. Jes to bardzo zabawne i dostarcza wiele emocyj. Obecnie przyznam, że wolę wyjechać na francuską Riwierę. „Wielki staw" bywa burzliwy na wiosnę i bezpieczniej będzie zaczekać na Normandie, która 15 maja wyruszy do Nowego Jorku.

— My też — odezwała się pani Renard — wybieramy się na Riwierę. Mój mąż od trzech dni pisze kartki z życzeniami świątecznemi. Systematycznie według spisu, aby nikomu się nie narazić. W Nicei spotkamy znajomych i zdążymy jeszcze na otwarcie międzynarodowych zawodów konnych.

— A pani wyjeżdża?

Donna Inez des Los Nevados uśmiechnęła się smutno.

— Dawniej cieszyłam się ogromnie na święta Wielkiejnocy. W Notores, mojem miasteczku rodzinnem, odbywały się wspaniałe procesje. Pamiętam moją matkę w czarnej mantyli z rodowych koronek, kunsztownie upiętej na wysokim grzebieniu. Procesja wielkanocna w Notores była słynną na dziesiątki mil wokoło. Zjeżdżali się znajomi i krewni. Wieczorami caballeros grywali i śpiewali pieśni pod oknami. Na niejednym domu nad drzwiami malowano czerwoną plamę: znak, że dziewczyna tam mieszkająca ma starającego się o jej rękę i biada śmiałkowi, który wejdzie w drogę zakochanemu kawalerawi. To było jednak dawno. Teraz wojna w Hiszpanji. Notores w gruzach. Oczywiście, że wyjadę. Będę śpiewać w Rzymie na rzecz inwalidów narodowej Hiszpanji.

— A więc niemal wszyscy rozjeżdżamy się — zauważył sentencjonalnie Kurt Stutermayer, który jeszcze nie był całkiem pewny, czy ma powrócić do Austrji, z której wyjechał przed Anschlussem. — Szkoda, było tu nam bardzo miło! Ja osobiście namyślam się jeszcze, jeżeli większość pan pozostanie, to...

— Jeżeli panna Hois pozostanie — chciał pan powiedzieć mister Stutermayer — wtrącił znacząco Mr. Clood.

— Tego nie powiedziałem — odparł szybko Kurt nieco zmieszany.

— Słusznie, że pan tego nie powiedział — odezwała się nagle miss Hois — nie musi pan tego mówić! Mam nadzieję, że rozumie się to samo przez się.

Kurt zapalił papierosa i spojrzał w okno. Nastała chwila milczenia.

Pisząc przy sąsiednim stoliku artykuł dla „Asa", mimochodem a raczej „mimo-uchem" byłem świadkiem naszkicowanej powyżej rozmowy. W tym momencie wstałem — i stanąwszy w centralnym punkcie salonu, odezwałem się mniejwięcej w te słowa:

— Drodzy państwo! Wysłuchałem waszej rozmowy i doszedłem do przekonania, że jedynym krajem, do którego warto wyjechać na święta wielkanocne, jest moja piękna ojczyzna — Polska! A zatem proponuję wam wszystkim: jedźcie ze mną!

— A teraz posłuchajcie: trzydzieści kilometrów za Krakowem — nad brzegiem Wisły na skraju lasu stoi dwór. Białe ściany, ganek obrośnięty winem — na rabatach i gazonach pierwsze kwiaty. Gdy zajedziemy sobie w trzech powozach, zaprzężonych w rosłe konie w krakowskich uprzężach — wybiegnie na ganek naprzeciw nas panienka... Wierzcie mi, takiej nie widzieliście nigdzie. Ani w „Ziegfield-Follies" — ani na deskach intymnych paryskich boîtes. Jasna blondyna o niebieskich oczach w białej sukieneczce, która napewno nie pochodzi od Patou. Ale usta jej jak mak, a ona sama wiosna, kwiat, uśmiech... Dygnie przed nami pięknie i serdecznie powita. Za chwilę na ganku pojawi się i dziadek — mlecznego wąsa pokręci i godnie poprosi nas do salonu. Pani domu krzątać się będzie wokół święconego — nie zobaczymy jej pewnie wcześniej, aż dopiero wieczorem.

Potem wyjdziemy do sadu. Dziadek laską wskaże drzewa specjalnie szanowne i opowie ich historję. Tu nic się nie wywodzi z przypadku — wszystko rośnie z wspólnego pnia tradycji wielu pokoleń, zarówno drzew jak i ludzi.

Tak sobie będziemy gwarzyć i czekać...

Zauważycie zaraz, że na folwarku dzieją się rzeczy niezwyczajne. Pośpiech i gorączka; wytaczają bryczki pod studnię i myją — konie czyszczą, polerują mosiężne guzy na uprzężach. Przez podworzec przebiegają bose dziewczęta w barwnych spódnicach. — Wszyscy się spieszą — na coś czekają...

O szóstej zajadą bryczki przed ganek. Pojedziemy do kościoła. Droga biegnie wzdłuż brzegu wiślanego poprzez brzozowy gaj.

Wiosenny wieczór — z nad rzeki w mgły i kładą się zwiewnemi welonami łąkach. Pachnie młoda zieleń i ziemia. Z czornego nieba płynie łaska ciszy — na wiślanej tańczy miedziany refleks skośn słońca.

Taki podkrakowski wieczór jest jedy na świecie...

Konie idą raźno. Dziadek spogląda pola, kłania się gospodarzom, spieszący na Resurekcję. Zmierzcha się. I oto nagl zza zakrętu uderza w nasze oczy wizja wśród potężnych lip mały kościółek. Bram otwarta — na podworcu tłum wieśniaków w białych sukmanach bogato wyszywanych czerwienią. Kobiety w wykrochmalonych czepcach — dziewczęta w kraśnych chustkach. Wszyscy z gorejącemi świecami w rękach. Na tle czerni drzew odcina się ten obraz niczem świetna dekoracyjna panorama.

Na łące nad rzeką huknęły moździeże. Tłum zakołysał się niczem łan żyta. Za chwilę buchnie z otwartych drzwi kościółka światłość wielka. Pod baldachimem prowadzony przez dwóch wieśniaków w sukmanach ukaże się ksiądz w złocistej kapie, niosący monstrancję.

Alleluja! Alleluja!...

Dziadek mimo świętości miejsca zaklnie pod nosem: *„oczywiście i w tym roku spóźniliśmy się! A mówiłem, aby wyjechać o wpół do szóstej — wszystkiemu winni ci zagraniczni goście"...*

Juliusz Mieroszewski

...nad brzegiem Wisły stoi dwór — białe ściany, ganek obrośnięty winem, na rabatach i gazonach pierwsze kwiaty — tam zajedziemy w powozie zaprzężonym w rosłe konie w krakowskich uprzężach... *Akwarela Juljusza Kossaka.*





25-lecie TEATRU POLSKIEGO: „NOC LISTOPADOWA"

Po korytarzu błąkają się niespokojne kosmate satyry. Ze schodów zstępują złote Niki, za nimi Pallas w błyszczącym hełmie, z ogromną włócznią w ręce.

Za kulisy teatru wtargnął świat mityczny, bogowie o złotych twarzach zmięszali się z tłumem robotników w bezbarwnych wypłowiałych ubraniach. Tutaj rozgrywa się wtóra linja akcji dramatu, przenikają się formy życia i sztuki. Żelazne drzwi, wiodące na scenę, nie rozgraniczają dość ostro dwóch światów, nie można już ściśle rozdzielić człowieka i roli, aktora od postaci dramatu.

Patrzę na Wysockiego, który przymierza przed lustrem napoleoński kapelusz, leżące obok na krześle ubranie wygląda jak larwa, którą zrzucił artysta, aby przybrać nowy kształt. Znam dobrze ten gorączkowy nastrój zakulis, chwile przemian, dziwaczne i cudowne, kiedy atmosfera nasyca się niesamowitym niepokojącym fluidem. I zdaje mi się, że właśnie w tej atmosferze można najlepiej zrozumieć, odczuć ton, barwę dramatu Wyspiańskiego, dramatu, który wyrósł, wyolbrzymiał, właśnie z wnętrza teatru, z mroków sceny i perspektywy korytarzy z szeregiem niedomkniętych drzwi garderób. Wyspiański, jak nikt inny, rozumiał i kochał warsztat teatru, mechanizm jego pracy i sztuki swojej nie zamknął w wymiarach sceny, ale rozpostarł ją po całym gmachu, po wszystkich zakamarkach od rekwizytorni, magazynu dekoracyj, aż pod wysoki belkowany strop, po bloki i ganki z zaczajonymi reflektorami. Zmobilizował wszystkie elementy techniczne teatru w stawaniu się nowej formy scenicznej, tak jak wchłonął w siebie różnorakie prądy, kierunki sztuki, przetopił w mistycznym tyglu swojej poezji i ukształtował nowy, niezależny dramat monumentalny.

W swoich niezwykłych, ogromnie ścisłych instrukcjach reżyserskich, liczył się Wyspiański przedewszystkiem ze skromnymi możliwościami technicznymi sceny krakowskiej, warunkami, w których borykał się, naginając niejednokrotnie wymarzoną wizję do możliwości wykorzystania jedynej na scenie zapadni. Technika sceny obrotowej daje o wiele szerszą skalę, umożliwia rozbudowę strony dekoracyjnej, nasuwa nowe rozwiązania inscenizacyjne.

Po takiej linji rozbudowy scenerji poszedł reżyser świetnego przedstawienia „Nocy listopadowej" w Teatrze Polskim, Aleksander Węgierko. Rozłamał przestrzeń światłem, umieszczając na różnych planach dwa światy ludzi i bogów. Wspaniała wizja, kiedy po tragicznej rozmowie Lelewela z Ksawerym Bronikowskim, scena obrotowa przenosi nas w szalejące ulice Warszawy, a gdzieś na dachach domów w świetle reflektorów Ares i skrzydlate Niki wzywają lud do walki, jest bodaj najświetniejszem osiągnięciem reżyserskiem w całem przedstawieniu. Nowy wyraz zyskała również scena pożegnania Demeter z Korą, dzięki kompozycji, umieszczającej pomnik Sobieskiego z prawej strony sceny i pozostawiającej z lewej czarną głąb nocy, w której się jawią wysoko zawieszone w przestrzeni świetliste postacie bogiń.

Scena pod pomnikiem Jana III z „Nocy Listopadowej".



Na prawo: Dr. Arnold Szyfman, dyrektor Teatru Polskiego — fragment z portretu Norblina.

„Jedyną wiążącą konsekwencją w dramatach Wyspiańskiego jest jedność wzruszenia", pisze Kazimierz Czachowski w obrazie polskiej literatury współczesnej. Tą właśnie „jedność wzruszenia", tworząca więź kompozycyjną między tragedją mitologiczną a tragedją powstania, osiągnął w nowej inscenizacji reżyser Węgierko i dekorator Stanisław Śliwiński. I nie wydają się dziwactwem niespodziewane przeskoki od scen ściśle historycznych do snu „Nocy listopadowej", fantastycznej rozgrywki między kamiennemi bóstwami parku Łazienkowskiego. Doskonała logika formy artystycznej, tłumaczy wszystkie zawiłości, lepiej niż najtroskliwsi komentatorzy. Nie wiem czy naprawdę „Noc listopadowa", jak to napisał Boy-Żeleński w recenzji z poprzedniego przedstawienia — „nigdzie zapewne nie byłaby zrozumiana", — wierzę raczej, że podziałałaby na obcych niezależnie od historycznego sensu „jako cud zmitologizowania rzeczywistości". „Cóż znaczy (znowu cytuję Boy'a), że każdy snob świata będzie znał nazwisko Claudela, a żaden nazwiska Wyspiańskiego, kiedy my wiemy napewno, że Claudel jest przy Wyspiańskim pucybutem, niewartym czyścić kredą sandałów jego Nikom". Można się było o tem przekonać na niedzielnem przedstawieniu P. I. S. T.-u „Zwiastowania" Claudela, zresztą wystawionego fragmentarycznie i reżyserowanego blado. Niezależnie jednak od naszego przekonania o wyższości Wyspiańskiego, wartoby dla eksperymentu pokazać Francuzom „Noc listopadową" w takiej właśnie doskonałej formie scenicznej.



W garderobie... (Jan Kreczmar w roli Wysockiego).

Rysunki: J. M. Szancer.

Poniżej: Janina Niczewska jako Nike z pod Termopil.



„Noc listopadową" wystawiono na jubileusz 25-cio lecia *„Teatru Polskiego"*. Obrastamy w nazbyt częste jubileusze, tak, że staliśmy się niewrażliwi na wszelkie daty i nie odróżniamy pozycyj naprawdę ważnych od błahych, tradycyjnych uroczystości. Dwadzieścia pięć lat pracy teatru, to pozycja o niezwykłem znaczeniu, pozycja, z której możemy spojrzeć na całokształt przebytej drogi artystycznej, zdać sobie sprawę z dorobku sceny.

Idea teatru, wywodząca się jeszcze z krakowskiego „Zielonego balonika", „Figlików" i „Momusa" (jakże płodnym jest posiew humoru), a urastająca w błyskawicznem tempie do monumentalnej formy „Irydjona" dzieje powstania gmachu, otwarcie teatru i szlak pracy, osiągnięć, wahań, nieustannej walki i nowych triumfów, aż po dzisiejsze przedstawienie „Nocy ilstopadowej", — tworzą bogatą i ogromnie romantyczną historję wielkiej organizacji artystycznej, historję woli człowieka, który tę organizację do życia powołał.

W wydawnictwie jubileuszowem „Teatr Polski" — opowiada Jan Lorentowicz, jak to młody literat krakowski dr Arnold Szyfman, przybył do Warszawy, jak znalazł możnych protektorów, pieniądze, ludzi, jak skupił koło siebie artystów, zorganizował warsztat pracy, dał sobie radę z cenzurą rosyjską i przełamał apatję i niewiarę publiczności warszawskiej. To ostatnie wydaje mi się bodaj najtrudniejsze, bo trzeba sobie zdać sprawę, że nasza publiczność, jak ją jeden

Dokończenie na str. 34-ej.



KĄCIK FILATELI STYCZNY

Najnowszy znaczek francuski z portretem Jana Charcot, badacza okolic podbiegunowych.

Znaczek reprodukowany przez nas w ostatnim numerze — a właściwie projekt p. Boratyńskiego na znaczek wystawowy musi się podobać wszystkim. Jeszcze nie wiemy, w jakim kolorze będzie on drukowany, w każdym jednak razie bardzo ważną nowiną jest wiadomość, że w dniu 3 maja ukaże się w obiegu 50.000 bloków ząbkowanych i taka sama ilość ciętych. Podniesie to bezwątpienia ogromnie cenę pojedyńczego bloku, ale nie czas tu dzisiaj na rozważania, czy zawsze cena idzie w górę wraz z pomniejszeniem nakładu i czy w stosunku do serji, obejmujących 2 znaczki lub więcej to samo prawo obowiązuje.



Wzór znaczka polskiego, który ukaże się w czworobloku w czasie wielkiej wystawy filatelistycznej w Warszawie (3—8 maja).

Jak było do przewidzenia termin zgłaszania eksponatów został przedłużony do 11 kwietnia, a może jeszcze dzisiaj, gdy ktoś zdecyduje się wziąć udział, zbiór jego zostanie przyjęty.

Trudności z wysyłką zbioru są ogromne, chciaż z drugiej strony ryzyko jest minimalne. Stawka ubezpieczeniowa wynosi jedynie 1,30 od tysiąca złotych, a więc jest to chyba możliwe minimum.

Gorzej przedstawia się sprawa z przygotowaniem kolekcji i tutaj trzeba się przygotowywać naprawdę długie lata, aby wreszcie móc stanąć do konkursu. Oczywiście, że w gorszej sytuacji są zbieracze ogólni, bo tu pewnego zaniedbania nie da się usunąć nawet w kilkuset godzinach żmudnej pracy, a czas poświęcony na układanie znaczków przez niektórych „pedantów", trzeba obliczać conajmniej na tysiące (godzin).

Niektórzy znów zbieracze mogliby śmiało „startować" w konkursie — ale wydaje im się niesłusznie, że nie są odpowiednio przy-

Dokończenie na str. 38-ej.

SZKOCKI PUŁK

›ARGYLL AND SUTHERLAND‹



Strój służbowy żołnierzy pułku „Argyll and Sutherland".

Najmłodszy pułk armji angielskiej jest szkockim pułkiem sformowanym w roku 1881 z wydzielonych oddziałów 91 pułku Argyll i 93 pułku Sutherland. Stąd wywodzi się jego oficjalna nazwa „The Argyll and Sutherland Highlanders". Jego pepinierą jest jednak 1-szy bataljon utworzony w 1794 roku. Pułk nosi imię księżniczki Luizy i 20-go lutego obchodził uroczyście w kościele św. Andrzeja w obozie Aldershot 144-tą rocznicę powstania.

Pułk ten wysoko dzierży powierzony mu honor. Na inne pułki linjowe patrzy z pobłażaniem, nie ma zaś specjalnie wysokiego wyobrażenia o kolegach z pułku „Gordon Highlanders" w Edynburgu.

Nie chcę zdradzać tu jego tajemnic organizacyjnych ani spraw ściśle poufnych. Każdy szeregowiec, „private", z kompanji „E" 1-go bataljonu wie o tem co należy. Jeżeli chodzi jednak o świetną przeszłość pułku lub o jego tak troskliwie pielęgnowane obyczaje, to jest to już własnością ogółu. Do zwyczajów należy wystąpić na paradzie w niedźwiedziej bermycy, czerwonej kurtce, z kraciastym pledem przez ramię, w spódniczce zwanej „kilt", z torbą borsuczą „spooran", kiedy ostro brzmią dudy szkockie i Union Jack powiewa na wietrze a białe pasy uzbrojenia chrzęszczą w takt marszu.

Jak różne to od tych dni lipca 1917 roku, kiedy w okopach nad Sommą w huraganowym ogniu Hunnów pułk przeżywał długie tygodnie!

I wtedy nie traciło się humoru i zimnej krwi. Stamtąd pochodzi zapewne ta historja, o której szeroko opowiadano:

Zdarza się w czasie najgęstszego nawet ognia, że na pół minuty powstaje w piekielnym hałasie wybuchów cisza i wtedy to właśnie wśród kurzu i drutów kolczastych usłyszano urywek rozmowy:

„i mówię jej, powiadam ci Billu, dlaczego nie masz za mnie wyjść zamąż?...", resztę dyskusji pochłonął silny huk detonacji.



Oficer podczas raportu.

Nie można powiedzieć o żołnierzach z „Argyll and Sutherland" ażeby byli specjalnie muzykalni, ale swoje „Honeymoon Song's" wyciągają o tyle szczerze ile fałszywie, a w błotach Flandrji czasów Wielkiej Wojny improwizowali piosenki o nieskomplikowanem libretto:

„We're here... because we're here!".

(Jesteśmy tutaj... ponieważ tu jesteśmy...).

Lub nierównie tęskne:

„We've had no beer, We've had no beer to-day!".



Maskota pułku — mały spasiony kuc „Cruachan".

(Nie dostaliśmy piwa dzisiaj...).

Śpiewali to, ściskając kolby karabinów Springfielda w oczekiwaniu na sygnał do ataku, w hełmach stalowych z maskami gazowemi na „pogotowie gazowe"!

A do ataku biegli, kopiąc przed sobą piłkę nożną w stronę okopów Hunnów, jak nazywali Niemców.

A jak wspaniale wypoczywało się w czasie rzadkich chwil, kiedy odsyłano pułk poza linję frontu! Nie grozi człowiekowi nagła śmierć, można się wyspać i poflirtować z Francuzkami. Wtedy narodziła się, stworzona przez żołnierzy angielskich zabawna piosenka, równie popularna, jak „Tipperary" z komicznemi zniekształceniami francuszczyzny:

„Mademoiselle from Armenteeres":
„Mademoiselle from Armenteeres
Parley-vous?
Après la guerre finie
Soldat anglais parti
Mademoiselle Fransay boko pleuray
Après la guerre finie...".

albo inna, śpiewana na nutę „Pod mostami Paryża":

„Madame have you any good wine
Parley-vous?".

Pułk „Argyll and Sutherland" ma swoją maskotkę. Jest nią pony, kuc, ciągnący bęben orkiestry pułkowej. Nazywa się „Cruachan". Jest mały czarny i potwornie spasiony. Pułk jest z niego dumny.

Pułk wie o tem, że wartość jego żołnierza stanowi męstwo w boju i poszanowanie tradycji. **Zygmunt Haupt.**



Na prawo: Bataljon w paradnych mundurach — „full dress". Rysunki: Zygmunt Haupt.

»ARRIBA ★ ESPAÑA«

WANDA DE RICHE

N O W E L A

Od Sierra Guadarrama dął zimny wiatr, wstrząsał wierzchołkami drzew i gubił się w szczelinach urwistych brzegów Manzanaresu. José Enriquez y Coya oparł karabin o worki z piaskiem, stanowiące osłonę i umocnienie strzeleckiego rowu, zapiął pod szyją gruby płaszcz żołnierski i przeciągnął się. Za dwie godziny kończyła się jego służba na placówce, wysuniętej ku pozycjom wojsk narodowych od strony Uniwersyteckiego Miasta. Towarzysze Josego, znużeni całonocną służbą, trwali w milczeniu, wpatrując się przez strzelnice w grupę zabudowań, połączonych murem, częściowo zburzonym i zniszczonym przez pociski madryckiej artylerji. Za murem tym czuwały straże przednie armji generała Yague, który w ostatnich dniach podsunął się prawie pod samą stolicę i ciągłemi atakami niepokoił broniące jej szeregi wojsk rządowych.

Przeciwnicy śledzili się z ukrycia, gotowi w stosownej chwili wyzyskać każdy nieostrożny ruch i ostrzec strzałem z karabinu, że trwają na strażach swych stanowisk.

Sierżant Enriquez nie spodziewał się obecnie natarcia. Stało się już jasne, że wojska narodowe są zbyt słabe, aby mogły zawładnąć miastem i że z konieczności bitwa na tym odcinku przerodzi się w dłuższą walkę pozycyjną. Wymiana strzałów, jak dzisiaj, męcząca służba w rowach strzeleckich, codzienna kanonada i... stanie w miejscu. Enriquez spojrzał raz jeszcze przez strzelnicę na okopy przeciwnika, rzucił okiem na podwładnych żołnierzy i usiadł na skrzyni z amunicją. Drżącemi z zimna rękami wydobył z zanadrza list, aby przeczytać go po raz wtóry.

„Drogi synu! — pisała matka. — Zbliżają się święta Wielkiej Nocy, które zwykliśmy byli od tylu lat spędzać razem. Tak bardzo cieszyłam się zawsze na nasze spotkanie. Pablo miał skończyć w tym roku Uniwersytet i ożenić się... Ty jesteś drugi rok na stanowisku. Byłam przekonana, że najgorsze mamy już poza sobą i że będę mogła zamknąć oczy w spokoju. I nagle przyszła ta katastrofa. Nie wiem, co dzieje się z twoim bratem, gdyż od szeregu miesięcy wszelka komunikacja z Sewillą zerwana. Nie wiem, co dzieje się z tobą i czy przebywasz stale w Madrycie. Pisałeś, że powołano cię do wojska i że będziesz walczył za republikę. Kochany mój! Za dużo myślicie tam o załatwianiu społecznych zatargów, a za mało o naszej ojczyźnie i religji. Zawsze uchodziłeś za zapaleńca, ale wiem, że masz serce złote i że w głębi duszy bolejesz nad tą całą wojną, jak i my wszyscy... Całuję Cię po wiele razy, mój synu i życzę, abyś Święta spędził spokojnie i w dobrem zdrowiu. Niechaj Cię strzeże Madonna! Modlę się wciąż za wami...

Twoja matka Serafita".

Sierżant Enriquez schował list i zadumał się głęboko. To prawda. Wojna wybuchła tak nagle, że wszelka łączność między nim i bratem została zerwana. Od rozpoczęcia walk, które były raczej buntem wojskowym przeciw prawowitej władzy, nie wiedział, co dzieje się na Południu. Może jednak tak było lepiej. Pablo uchodził za zwolennika dawnych metod i porządków i kto wie, czy nie naraziłby się obecnym władzom. Kochany chłopak! Zawsze pełen ufności, zawsze szczery, nie umiałby kłamać. Wcześniej czy później popadłby w zatarg z ludźmi, reprezentującymi nowe wierzenia i nowe ieały... Ileż to razy sprzeczali się z sobą, on, broniący wolności przekonań, braterstwa stanów i warstw ciemiężonych przez szeregi lat i Pablo, rozmiłowany w tradycji, sięgającej jeszcze czasów feudalnych, stojący pod wpływem potęgi Kościoła i wierzący w odwieczną sprawiedliwość Opatrzności. Ktoby z nich miał słuszność? Zadawał sobie to pytanie, ilekroć lała się krew hiszpańska w czasie rewolty w Barcelonie, oblężenia Toledo i teraz, na przedmieściach Madrytu i nie umiał znaleźć odpowiedzi. Czasem ogarniał go jednak wściekły gniew na tego buntownika Franco, który dla egoistycznych celów wystąpił do walki z ludem i jego przedstawicielami. Kondotjer!

Enriquez drgnął, gdyż nagle rozległo się kilka strzałów. To placówka narodowców skarciła nieostrożnego jego żołnierza za wystawienie głowy z strzeleckiego rowu. Milicjanci, ukryci za workami, zaczęli odpowiadać z karabinów. Przez kilka minut trwała strzelanina, bezcelowa i bezskuteczna. Jak tyle razy w ciągu ostatnich dni!

— Obywatelu, sierżancie! — zameldował jeden z żołnierzy, salutując. Tam, koło drogi, za murem, ukrył się jakiś powstaniec i od trzech godzin nie daje nam spokoju...

Enriquez sięgnął po karabin. Nie darmo cieszył się sławą najlepszego strzelca w kompanji. Ludzie jego wiedzieli, że na tę odległość nie zwykł chybiać, o ile znajdzie odpowiedni cel.

Przesunął się wzdłuż nasypu i przykucnął za rumowiskiem, wpatrując się bystremi oczyma w linję okopów przeciwnika. Placówka wojsk narodowych przestała strzelać. Ale sierżant wiedział, że stojący na niej żołnierz trzyma broń w pogotowiu. Uparty napastnik, który mógł oddział jego przyprawić o straty jeszcze przed zluzowaniem! Należało wprowadzić go w błąd, zmylić jego czujność i zwalczyć własną bronią.

Enriquez spoglądał przed siebie, gotowy do strzału. Lufa jego karabinu, ukryta między workami z piaskiem nie mogła zwrócić uwagi przeciwnika. Minęło kilkanaście minut. — Teraz, sierżancie! — zawołał jeden z milicjantów. — Wychyla głowę! — Zanim brzebrzmiały te słowa, Enriquez pociągnął za cyngiel, uśmiechając się triumfalnie. Ukryty za murem żołnierz narodowy, który teraz wychylił się, runął na ziemię, ugodzony kulą. Enriquez spostrzegł to i chciał wydać okrzyk radości, ale zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Zatoczył się i padł na ręce milicjantów. — Do djabła! — zawołał jeden z nich. — Mówiłem, że ten frankista zrani któregoś z naszych.... Ale zdaje się, że i sam dostał!

Złożyli sierżanta na dnie strzeleckiego rowu, aby go opatrzyć. Ale jeden rzut oka pouczył ich, że wszelka pomoc jest daremna. Kula z karabinu powstańca, którego Enriquez postrzelił w tym pojedynku, weszła przez jego prawe oko i strzaskała mu czaszkę. Śmierć nastąpiła w jednej chwili.

— — — — — — — — —

Pablo Enriquez y Coya przestał strzelać i usiadł na wilgotnej ziemi, znużony i wyczerpany. Przez całą noc mżył drobny

deszcz, który za każdym podmuchem wichru siekł bezlitośnie wychudłe twarze czuwających. Kilku żołnierzy przytuliło się do muru z bronią w ręku.... Reszta leżała bez ruchu, jakby drzemiąc, z zaciśniętymi w skostniałych z zimna rękach karabinami. Kapral Enriquez spoglądał tępym wzrokiem na ledwie widoczne na jasnem tle niebios trzy małe plamki bojowych aeroplanów, zataczających właśnie szeroki krąg nad miastem. Oczy kleiły mu się ze zmęczenia, ale poczucie grożącego stale niebezpieczeństwa ze strony ukrytych w odległości zaledwie dwustu metrów posterunków wojsk rządowych nakazywało mieć się na ostrożności.

Od szeregu godzin panowała względna cisza. Przeciwnik zaprzestał strzelać, a mały oddziałek requêtes, wyczekujących z utęsknieniem chwili zluzowania go na wysuniętem stanowisku, zażywał w pełni rozkoszy spokoju. W tym dziwnym stanie półsnu i półjawy, o który przyprawiło go wyczerpanie, myśli Pabla Enriqueza błądziły gdzieś w przestrzeni. Z chaosu wspomnień wyłaniały się wizje postaci i obrazów, pozostających w ścisłym związku z przeżyciami ostatnich miesięcy. Uniwersytet w Sewilli, powstanie narodowe, zaciąg do armji ochotniczej, pierwsze walki, pochód na Badajoz i Toledo, a wreszcie wyprawa na Madryt... ileż to chwil wzniosłych, wielkich, ale i strasznych zarazem! Jeszcze dźwięczały mu w uszach zaklęcia miłosne Gracji, jego narzeczonej, żony prawie, z którą pojechać miał właśnie po błogosławieństwo do Tarragony, do matki. Któżby pomyślał, że zamiast obrzędu weselnego czekały go długie miesiące niepewności, tęsknoty i walki wewnętrznej między poczuciem obowiązku i instynktem, nakazującym zabezpieczyć sobie przyszłość przy boku ukochanej! Decyzja Gracji ułatwiła mu wybór, ale zbyt dobrze znał jej serce, aby nie domyślić się, że poza słowami otuchy, zachęcającemi go do walki w obronie wspólnych ideałów, krył się głęboki ból, rozpacz i strach przed nieznanem. Wojna! Wojna domowa! Kiedy wówczas, na stacji kolejowej uwolnił się z uścisku Gracji i usta jego, jeszcze spragnione jej pocałunków, wyszeptały słowa pożegnania, nie zdawał sobie sprawy, jaką nieludzką męką będzie rozłąka. Miłość ku tej kobiecie była właściwą treścią jego żywota, pochłonęła go w zupełności, kazała zapomnieć o całem otoczeniu i w wszelkich poczynaniach, w wszelkich dążeniach liczyć się zawsze z jej zdaniem i z jej pragnieniami. Dumny był z swojej Gracji i dlatego wielbił ją jeszcze bardziej. Tworzyli, jeśli nie najpiękniejszą, to najszczęśliwszą parę w Sewilli. Listy matki i brata, pełne zadowolenia, dowodziły, że pochwalają oni wybór Pabla i że małżeństwo jego z kuzynką, które zbiec się miało z uzyskaniem doktoratu, uważają za pożądane. I nagle, jak grom z jasnego nieba, strzelanina na ulicach, walki bratobójcze i wieści o rozpoczęciu świętej wojny za ojczyznę i wiarę! Czyż mógł nie stawić się na wezwanie? A ona, czy mogła zakazać mu wstąpienia w szeregi armji narodowej? O tem nie było mowy.

W ciągu długiego roku widział się z nią ledwie dwa razy i dopiero przed kilku dniami otrzymał wiadomość, że Gracja bawi w Burgos, jako pielęgniarka w jednym ze szpitali wojskowych. Za tydzień lub dwa, kiedy skończą się walki pod Madrytem, poprosi o urlop, a jeśli go uzyska, zobaczy się z narzeczoną. Jakież to szczęście, że nie dzieli ich linja frontu, że mogą porozumiewać się przynajmniej od czasu do czasu! Matka i brat w Tarragonie, to dziś dla niego jakby postacie mityczne, a prowincje, pozostające pod władzą rządowców, to kraina nieznana. José siedzi zapewne w swojem biurze i czytając dzienniki o postępach wojsk narodowych, zżyma się i klnie w głębi duszy. Poczciwy José! Ta wojna wybije mu mrzonki z głowy.

W powietrzu rozległ się ostry świst kuli karabinowej. Ktoś strzelił z tamtej strony. Żołnierze narodowi nie pozostali dłużni. Kapral Pablo Enriquez ocknął się z odrętwienia i ukląkł. Jego podwładni przyczołgali się do muru z bronią w ręku. — Zaczynają! — mruknął jeden z nich. — To ci z okopu na skraju parku...

Pablo oparł karabin o rumowisko, za którem ukryci byli jego ludzie i z wyraźną niechęcią spojrzał na okopy przeciwnika. Jakżeż to blisko! Nic dziwnego, że żołnierze bali się wychylić głowę, a jeśli zaszła potrzeba, przesuwali się tylko na czworakach. Bądź co bądź, było to przecież igranie z ogniem!

W pewnej chwili wydało się kapralowi, że za linją okopów milicji wszczął się jakiś ruch. Widocznie luzowanie placówki. Jeden z jego żołnierzy wystrzelił raz i drugi. W Pablu odezwała się żyłka myśliwska. Ścisnął w ręku karabin i wpił się oczyma w nasyp, osłaniający straże przeciwnika. Zupełnie machinalnie, gdyż zdrętwiała mu noga, zmienił pozycję, a czyniąc to, wychylił się na chwilę z poza muru. Błysk strzału w okopach rządowców, którego nie spodziewał się obecnie, przeraził go. Palce jego ręki zacisnęły się mimowoli na cynglu. Ale nie usłyszał strzału.... W piersiach uczuł tylko ból tak silny i przejmujący, że obsunął się zaraz na ziemię! Przez sekundę lub dwie widział jeszcze przerażone oczy klęczącego obok niego żołnierza, a potem wszystko spowiły gęste ciemności...

— — — — — — — —

Przewieziono go do Burgos w stanie beznadziejnym, ale los, który okazał się dla biedaka tak nieubłaganym, pozwolił mu zaznać przed śmiercią wielkiego szczęścia. Kiedy odzyskał przytomność, a było to w dzień Wielkiej Nocy, dzwony katedry głosiły właśnie wiernym triumf Zmartwychwstania. Ich głuche, charakterystyczne uderzenia, słychać było wyraźnie przez zamknięte okna szpitalnej sali, w której leżało kilkunastu rannych. Oczy Pabla zabłysnęły radośnie, wydało mu się bowiem, że oto odbywa się nabożeństwo dziękczynne za wyswobodzenie stolicy z pod panowania czerwonych. Wojska narodowe wkroczyły do miasta, witane entuzjastycznie przez zebraną na ulicach ludność, a duchowieństwo odprawia uroczyste modły we wszystkich kościołach. Jakaś znana mu twarz pochyliła się nad jego łóżkiem i przygląda się z niepokojem leżącemu... To Gracja, jego Gracja! Zalana łzami dziewczyna czuwa od trzech dni przy boku ukochanego, już zrezygnowana, już przygotowana na najgorsze. Pablo uśmiecha się do niej, a ona odpowiada mu również rozdzierającym serce uśmiechem. Przez chwilę wpatrują się w siebie oczyma pełnemi miłości — ona, uradowana, że ranny zobaczył ją jeszcze przed śmiercią, on, bezgranicznie szczęśliwy, pewny, że wszystko złe przeminęło i że przy boku ukochanej rozpocznie się dla niego nowe życie w zbudzonej z koszmarnego snu Hiszpanji. — Arriba España! — szepce Pablo blademi wargami, szukając na kołdrze dłoni narzeczonej, jakby chciał podzielić się z nią radosną wieścią, że wysiłki jego nie były daremne, że skończyły się już dni tęsknoty i duchowej udręki. — Arriba España! — powtarza dziewczyna, która w tej strasznej godzinie, grzebiąc wszystkie swoje nadzieje, znajduje dosyć sił, aby utrzymać umierającego w przekonaniu o ostatecznem zwycięstwie. Dzwony katedry biją coraz głośniej, echo ich rozlega się w całem mieście, ale do uszu Pabla odgłosy ich dochodzą coraz niewyraźniej. Bladość śmierci pokrywa czoło rannego, a kiedy zrozpaczona Gracja rzuca się do jego rąk, aby je ucałować raz ostatni, Enriquez, nie ma już sił odwzajemnić pieszczotę ukochanej, gdyż ogarnia go znowu sen, tym razem wieczny....

— — — — — — — —

A tam w Tarragonie, o tej samej godzinie, stara kobieta wpatruje się przerażonemi oczyma w depeszę, zwiastującą jej wieść hiobową, wieść o śmierci syna Joségo, sierżanta wojsk rządowych, który padł na posterunku poto, aby zbudziła się do życia nowa i szczęśliwa Hiszpanja. Poza oknami hula wicher, zawodzi głośno, skarży się, jęczy i płacze wraz z kobietą, której litościwy Bóg oszczędził jednak największego cierpienia, świadomości, że jej ukochani synowie zabili się w bratobójczej walce o spełnienie matek...

Ale gdzieś wgórze zapisane jest, że wszelkie wysiłki, podjęte w szlachetnych zamiarach, nie pójdą na marne, że różnice metod postępowania nie stanowią o treści, że z krwi przelanej odradza się zawsze nowe życie i że za cenę wzajemnych ofiar dzieci jednej matki osiągnąć można spełnienie najświętszego życia, jakiem jest dobro ojczyzny. Arriba España!

„UCZTA" MOPSA


H-O
QUICK COOKING
OATS

Człowiek bez nazwiska

TADEUSZ BILIŃSKI

NOWELA

— Żałuję mocno — mój panie, ale konjunktura na oryginalne powieści jest obecnie bardzo marną, a zresztą, gdybym nawet zgodził się drukować pańską powieść, to proszę mi wybaczyć, ale pan nie ma nazwiska.

— Jakto?

— Tak jest, proszę pana, pan nie ma „marki" i dlatego pańska powieść nie mogłaby mieć powodzenia...

Audjencja była skończona. Wydawca nie zwracał już zgoła uwagi na Ignacego Marskiego, a maszyna rozpoczęła na nowo swój uprzykszony terkot.

Marski skłonił się jeszcze niezgrabnie, przełknął ślinę w zaschniętem gardle i... ostatecznie zamknął drzwi za sobą.

Znów o jedno złudzenie mniej! Powieść, którą nosił zawsze ze sobą w zniszczonej teczce, skazaną była widocznie na to, aby nie ujrzeć nigdy czernidła drukarskiego. Kompletnie złamany i zgnębiony powlókł się Ignacy do kawiarni, aby napić się „czarnej".

— Co ci to?... Czy może jesteś zakochany? — pytał znajomy.

Ignacy poczuł nagle nieodporną chęć otwarcia serca przed przyjacielem i dlatego wyznał mu z goryczą, że właśnie dzisiaj obchodzi jubileusz 25-krotnego odrzucenia swej pierwszej i — jak dotąd — ostatniej powieści. Przyjaciel słuchał go cierpliwie, lecz po chwili przerwał ten rwący potok wyznań i wzruszając ramionami, rzekł:

— Drogi przyjacielu, niestety tą drogą nie zajdziesz daleko. Jeśli chcesz, aby cię drukowano, musisz zdobyć „markę" i to za wszelką cenę. A zatem zastrzel jakiegoś ministra, albo skradnij naszyjnik perłowy, w dodatku fałszywy... jakiejś artystce filmowej, która zresztą będzie ci wdzięczna za tę reklamę. Albo zrób tak, jak Alcybiades, tj. obetnij ogony wszystkim psom... Spal, jak stary Greczyn Herostrat, jakiś gmach publicznej „bezużyteczności", n. p. teatr, potnij nożem obraz Matejki w muzeum, albo oblej go smołą... ostatecznie możesz tak, jak człowiek-mucha wyspinać się na wieżę Marjacką, albo na „Dom pod Kominami".

— Proszę cię nie kpij sobie.

— Co robić?! Inaczej nie zdobędziesz popularności i twoja powieść pozostanie na zawsze w teczce... Widzisz... ja nie pisuję powieścideł, lecz je sam przeżywam i wciąż tylko obawiam się, aby kiedyś ich nie wydrukowano.

Rady doświadczonego przyjaciela nie poszły w las i Ignacy zdecydował się, zależnie od okoliczności, zastosować się do nich.

Jednego wieczora Ignacy wziął ze sobą wielkie nożyce i wczesnym rankiem czekał w ukryciu na czworonogi, które w owym czasie zwykły przechadzać się po ulicy. — Lecz „psi pech" prześladował go. Wszystkie pieski, odbywające poranną przechadzkę, miały już obcięte ogonki, a zresztą unikały go, jak gdyby zwęszyły jego „psiożercze" zamiary.

Niezrażony tem pierwszym niepowodzeniem Ignacy zakupił sto pudełek z zapałkami, lecz wszelkie usiłowania, żeby spalić w nocy teatr, spełzły na niczem, ponieważ mury nie chciały się absolutnie palić.

Innym razem Ignacy z ukrytym pod płaszczem nożem rzeźnickim zakradł się do muzeum, aby pokrajać „Bitwę pod Grunwaldem". Jakież było jego zdziwienie, kiedy przekonał się, że ktoś już go uprzedził. Obraz był już pokiereszowany!

Teraz zdecydował się na ostatnią ryzykowną próbę. Ukrywszy się niedaleko sejmu, Ignacy oczekiwał zapowiedzianego przyjazdu ministra, którego znał z fotografji. Czekał cierpliwie, ściskając kurczowo brauning.

Nagle serce jego zabiło gwałtownie, ponieważ u wylotu ulicy zobaczył samochód ministerjalny. Szybko wyciągnął rewolwer, nacisnął kurek i... Jakiś chłopiec przebiegł pędem, krzycząc: Nadzwyczajne wydanie-Upadek gabinetu ministerjalnego...

— — — — — — — — —

Dnie i tygodnie mijały, a Ignacy siedział w domu, o ile nie był w biurze i odczytywał manuskrypt człowieka bez nazwiska, który znalazł jedynego czytelnika w autorze. Pewnego dnia, przeglądając „Kurjerka", przeczytał następującą notatkę: „Zastraszający objaw. 96 samobójstw w naszem mieście od pierwszego stycznia".

Tej nocy dookoła jego łóżka rozpętał się makabryczny tan niesamowitych samobójców. Jeden z nich trzymał w ręce pochodnię i sam płonął, inny usiłował zatamować sobie krew, która gwałtownym strumieniem wybuchała z przestrzelonej skroni, trzeci znów wywijał przed twarzą Ignaca stryczkiem i usiłował wydrzeć drugiemu flaszeczkę, na której widniał napis „cjankali".

Następnego dnia ledwo mógł doczekać się zamknięcia biura i natychmiast pobiegł do kawiarni.

— Znowu trzy nowe samobójstwa. Pewna myśl, jak krwi żądna harpia, schwytała go swemi szponami i niesposób było uwolnić się od niej: — Ty musisz być setnym z rzędu!

— — — — — — — — —

Pyzate oblicze księżyca spoglądało z dobrodusznym i wyrozumiałym uśmieszkiem, wędrując pośród kokieteryjnie mrugających gwiazd, które miały jakąś nazwę, albo były „bez nazwiska" — kiedy Ignacy Marski wślizgnął się do parku miejskiego. Spokój miał w duszy, a zimną krew w żyłach. Ze znawstwem doświadczonego leśniczego próbował jedną gałąź po drugiej, szukając odpowiedniej, wkońcu znalazł jedną, która sterczała ponad ławką na osobności, jako iż wydała mu się dostatecznie silna i wytrzymała.

Z całą pedanterją począł wypróbowywać sznur, który zarzucił na gałąź, ciągnąc go z całej siły. Lecz sznur nie zawiódł jego zaufania, przeto Ignacy zrobił przepisową pętlę, zdjął kołnierzyk, wszedł na ławkę i założył pętlę na szyję. Teraz wystarczyło tylko zeskoczyć z ławki... Tam w domu leżała jego powieść na stole, na widocznem miejscu, a drzwi od mieszkania swego zostawił otwarte. Ten, kto pierwszy wejdzie do pokoju, musi zauważyć rękopis.

Nagle przenikliwy huk rozdarł brutalnie ciszę w parku:

Był to setny z rzędu samobójca.

Pod Ignacym zachwiały się nogi:

Ktoś inny znowu uprzedził go.

Lecz on już stracił równowagę i nogi gwałtownie zatrzepotały w powietrzu.

Jakie pragnienia budzi w pani wiosna?

KAROLINA LUBIEŃSKA



Pragnę zobaczyć wiosnę w Tatrach; nigdy nie widziałam krokusów na śniegu, najpiękniejszego symbolu wiosny. O innych moich wiosennych marzeniach nie chcę mówić. — żeby nie „uroczyć"...

MARJA GELLA



Na wiosnę pragnień nie posiadam. Tylko w zimie. — Czasem pod koniec jesieni, ale tylko w latach przestępnych!!

KAZIMIERA SKALSKA



Widząc z wiosną rozpromieniony świat, słysząc rozśpiewane ptaszki, kobieta przedewszystkiem... spojrzy w lustro i pomyśli: „Mój Boże! Co to się przez tę zimę porobiło!"...

MARY DIDUR HR. ZAŁUSKA



Byłam widzem triumfalnego pochodu wiosny w różnych stronach świata. Cudną jest wiosna w gorącym Meksyku, kraju mego dzieciństwa i mej matki. Nigdy nie zapomnę wiosennego wiatru wyżyn Pierra Tekmpladas i kwitnących brzegów Rio Grande...

Z kolei los dał mi poznać piękno Polski, ojczyzny mego ojca. Poznałam najpiękniejszy w świecie urok polskich pierwiosnków i fiołków i bzu...

I choć pamiętam te inne, dalekie wiosny, największem mojem pragnieniem wiosennem, jest przytulić twarz do takiej pachnącej, wilgotnej okiści białego bzu...

EWA OSTEN



Wiosna budzi we mnie zawsze dwa uczucia: radości i żalu. Radości, kiedy przychodzi — i żalu, kiedy odchodzi.

ANNA JARACZÓWNA



Dużo powiedzieć nie mogę. Miesiąc temu wyszłam zamąż, a więc — już w zimie miałam cudną wiosnę... Resztę niech dośpiewa poeta...

JANINA MARTINI



Wiosna budzi we mnie stany rodzaju „nijakiego" (co nie znaczy, żebym na wiosnę n. p. pączkowała) — ale jest ona o tyle pożądana, że w embrjonalnej formie zapowiada lato. Ponieważ w Polsce jest wiosna bardzo krańcową, zatem zgadza się w zupełności z moją naturą.

„Ach — tylko ten upał!" — jak powiedziała narzeczona krasnoludka, siedząc po pas w ukropie..

LUNIA NESTORÓWNA



Na wiosnę czuję się, jak ptak zamknięty w klatce. Odczuwam nieodpartą poprostu chęć wyfrunięcia w szeroki świat. Ponieważ bardzo dużo podróżowałam, więc tęsknota za wędrówką budzi się we mnie z pierwszym powiewem wiosny.

INA BENITA

Całą zimę żyję pr... gnieniem wiosny. P... szła nareszcie, ... czegóż potrz... cej? Upajać ... cem, wdyc... jącą woń ... opierać ... kusom ... podd... a wt...

W... sny.

HANNA RÓŻAŃSKA



...Dosiąść sportowego Austro-Daimlera (a choćby poczciwego Forda), pędzić „co benzyna wyskoczy", z rowerzystami na szosie w zawody, zatrzymać się nad morzem, popłynąć do horyzontu i spowrotem, a potem oddać się pocałunkom... słonecznym...

IRENA HORECKA



Moje marzenie wiosenne — to zmienić trunek. Od osiemdziesięciu kilku dni gram w sztuce „Cieszmy się życiem" w Ateneum pewną osóbkę, która co wieczór wypija szklankę ginu. Mam już tego dość. Chętnie zmieniłabym go — bodaj na... kwaśne mleczko!

Na wyżynach muzycznego Olimpu



...ką na tarasie ...m „Czterech ...

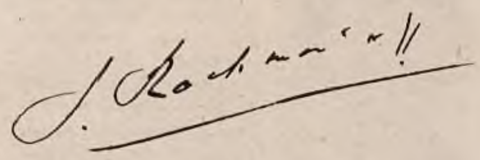
... za- ... Jó- ... naj-

... czas ... życia i karjery artystycznej ... muzyka.

Dziś, gdy poczta doręczyła mi z Szwajcarji, drugiej, przybranej ojczyzny Rachmaninowa, szereg ciekawych fotografij, odkrywających kulisy prywatnego życia artysty, wracam do jego osoby i piszę o nim, o jego dziełach z największem upodobaniem.

W ciągu wielu lat, które dzielą nas od chwili pojawienia się nazwiska Rachmaninowa na szerszej arenie życia muzycznego, prasa codzienna podawała nieraz bardzo nieścisłe wiadomości, odnoszące się do początków karjery wielkiego muzyka. Pamiętam, że raz nawet ukazał się w pismach amerykańskich wywiad, w którym artysta musiał poddać ostrej krytyce niedokładności pewnych recenzyj, zaznaczając ironicznie, że dopiero z nich dowiedział się „prawdy" o swem pochodzeniu. Clou wszystkiego stanowiła wiadomość, wedle której Rachmaninow wywodził się z chłopskiej rodziny z Kazania, że był burłakiem na Wołdze i że pierwsze swe sukcesy artystyczne zawdzięczał protekcji bogatego kupca moskiewskiego Mamontowa, za którego pieniądze się kształcił. Te interesujące szczegóły biograficzne krążyłyby niewątpliwie przez czas dłuższy wokół nazwiska Rachmaninowa (wówczas bawiącego w Rosji), gdyby nie przypadek, który zdziałał, że artykuł wpadł w ręce zagranicznego impresarja artysty. Ten zaś odrazu zorjentował się, że opisane szczegóły odnosiły się do życia Szaljapina, a nie Rachmaninowa i zamieścił od powiednie sprostowania. Ale i te informacje pod wieloma względami odbiegały od rzeczywistości. Posłuchajmy więc, co powiedział o swem życiu sam artysta.

Rachmaninow urodził się 1 kwietnia 1837 roku w posiadłości wiejskiej swej matki w gubernji nowgorodzkiej. Do dziewiątego roku życia przebywa na wsi w domu rodziców i już wtedy objawia żywe zainteresowanie muzyką i pieśniami, śpiewanemi przez okolicz-



Autograf wielkiego muzyka

rozpoczyna naukę gry na fortepianie w klasie Demjanskij'ego. Po 3 latach przenosi się do konserwatorjum w Moskwie, gdzie dostaje się pod opiekę swego wuja, słynnego Aleksandra Siloti, ucznia Liszta. Równocześnie uczy się kompozycji u Tanejewa i Arenskij'ego. Studja pianistyczne trwają do r. 1891, a w rok potem otrzymuje Rachmaninow złoty medal za pierwsze swe większe dzieło, którem była opera „Aleko", napisana do libretta Puszkina, a wystawiona w tym samym roku przez operę w Moskwie.

Ten moment staje się przełomowym w karjerze artystycznej Rachmaninowa. Konserwatorjum muzyczne w Moskwie powołuje go



Posiadłość mistrza, widziana od strony jeziora.



Na lewo: Willa Rachmaninowa połączona jest z parkiem piękną pergolą.

nych chłopów. Rodzice dają mu staranne wychowanie, które wnet miała przejąć jedna z najbardziej arystokratycznych szkół carskiej Rosji. Tymczasem stan majątkowy rodziny Rachmaninowa pogarsza się do tego stopnia, że plany te muszą ulec zasadniczej zmianie. Niespełna 10 lat liczący Rachmaninow wyjeżdża do Petersburga i w tamtejszem konserwatorjum muzycznem

w r. 1893 do grona swych profesorów, a w cztery lata później widzimy młodego muzyka już przy pulpicie dyrygenta opery moskiewskiej. Równocześnie Rachmaninow występuje jako pianista w swej ojczyźnie, odnosząc wszędzie duże sukcesy. Po raz pierwszy wyjeżdża zagranicę w r. 1899, zaproszony przez londyńską Filharmonję. W stolicy Wielkiej Brytanji dyryguje własnemi kompozycjami symfonicznemi i daje dwa recitale pianistyczne z programem, opartym w znacznej części na swych utworach. Rok 1902 zastaje go na koncertach w Wiedniu.

Te pierwsze kroki poza granicami kraju nie wróżą jeszcze olbrzymiej karjery, jaka wkrótce miała przypaść w udziale wielkiemu muzykowi. Krytyki przychylne, ale nie entuzjastyczne, nie dodały artyście bodźca do dalszych występów na szerszej arenie świata. Rachmaninow wraca do kraju i przez cztery lata pracuje na stanowisku dyrektora

słynnego teatru carskiego w Moskwie. W 1906 rezygnuje z tego stanowiska i wyjeżdża na przeciąg dwóch lat do Drezna. Potem na rok wraca do Moskwy, dyrygując tam koncertami symfonicznemi, a w r. 1909 wyrusza na pierwsze swe tournee po Stanach Zjednoczonych.

Wyjazd do Ameryki — to właściwy początek światowej sławy Rachmaninowa. Zaraz pierwsze koncerty na ziemi Waszyngtona wywołują wśród tamtejszej publiczności niebywały entuzjazm, który potem towarzyszy każdemu występowi artysty. Nazwisko Rachmaninowa jest też bardzo wysoko notowane na



Sergjusz Rachmaninow podczas codziennego studjum pianistycznego w swej willi w Hertenstein.

giełdzie artystycznej, dzięki czemu i honorarja jego wzrastają w zawrotnem tempie.

Pasmo powodzeń na ziemi amerykańskiej zostaje przerwane wskutek wyjazdu Rachmaninowa do Rosji w r. 1912. Ojczyzna zdołała go raz jeszcze zawrócić z wielkiej drogi artystycznej na obczyźnie, ofiarowując mu zamiast ogromnych honorarjów zaszczytną nominację na kapelmistrza wielkiej opery w Petersburgu. Na tem stanowisku zastaje go rewolucja bolszewicka. Rachmaninow jako zdecydowany wróg nowego reżimu opuszcza na zawsze kraj i wyjeżdża powtórnie do Ameryki. Odtąd życie wielkiego artysty należy do całego świata i wiedzie go przez sale koncertowe wszystkich stolic. Rachmaninow-pianista staje obok Paderewskiego i Józefa Hoffmana w pierwszej trójce najznakomitszych wirtuozów. Rachmaninow-kompozytor urasta wkrótce do miary świetnego reprezentanta liryki w współczesnej twórczości muzycznej.

W bogatym skarbcu kompozytorskim Rachmaninowa błyszczą jak najbardziej drogocenne klejnoty, jego utwory, pisane na fortepian solo i z towarzyszeniem orkiestry. Są to liczne Preludja i Etiudy, oraz cztery Koncerty fortepianowe, z których najbardziej znanym jest drugi E-moll, Op. 18. Ten koncert przyniósł Rachmaninowi na początku jego karjery kompozytorskiej nagrodę im. kompozytora Glinki w kwocie 500 rubli. Ostatnio napisał Rachmaninow wspaniałą Rapsodję na temat Paganiniego, na fortepian z orkiestrą. Z innych dzieł zasługują na wymienienie dwie Symfonje, słynny poemat symfoniczny „Wyspa Umarłych", wspomniana już na początku opera „Aleko", oraz cały szereg przepięknych pieśni.

Tyle mówią szczegóły biograficzne. Nieraz, jeszcze w czasie studjów muzycznych, spotykałem się z bardzo sprzecznemi zdaniami o kompozycjach Rachmaninowa. Szczególnie utkwił w mej pamięci fragment rozmowy, jaka wywiązała się przed kilkunastu laty między mną a pewnym pianistą, zagorzałym wyznawcą ultramodernizmu. Twierdził on wówczas, że utwory Rachmaninowa dają muzykowi zadowolenie tylko na krótką metę, że przechodzi się przez nie bez silniejszych wrażeń, że się do nich więcej nie wraca, bo język tych utworów zbyt prosty nie jest mową wielkiego ducha. Ta pochopna krytyka spowodowała ogólny protest towarzystwa, w którego gronie rozmowa się toczyła. Zyskałem więc odrazu atmosferę, przychylną dla mej repliki. Oparłem ją przedewszystkiem na olbrzymiem powodzeniu w całym świecie kompozycyj Rachmaninowa, co nie świadczy o niczem innem, jak tylko o tem, że właśnie język muzyczny, jakim wielki artysta przemawia do słuchaczy, jest dla nich zarazem zrozumiałym i pięknym. Przytoczyłem też wiele głosów międzynarodowej fachowej krytyki i wskazałem na liczne przykłady interpretacji utworów Rachmaninowa przez najsłynniejszych wirtuozów świata.

Po latach spotkałem się znowu z owym pianistą i to na jego recitalu. Połowa utworów, które wtedy wykonał nawet z wielkim talentem, pochodziła z teki kompozytorskiej... Rochmaninowa! Zapytany o powody takiego ułożenia programu, odpowiedział szczerze: „Przez kilka lat siedziałem w Ameryce. Tam ludzie warjują na punkcie kompozycyj Rachmaninowa, więc i ja musiałem się do nich zabrać. Wkrótce spostrzegłem się, jak wielki popełniłem błąd jako pianista, odrzucając pochopnie te prawdziwe perły literatury fortepianowej. Dziś wiem, że dzięki nim mogę zawsze liczyć na powodzenie. Prócz tego dają mi one naprawdę wielkie zadowolenie artystyczne".

Niewątpliwie sam Rachmaninow jest najlepszym wykonawcą swych kompozycyj. Słyszałem go po raz pierwszy przez radjo w transmisji koncertu symfonicznego z Berlina. Już wówczas, mimo kiepskich warunków tej transmisji, gra jego wywarła na mnie potężne wrażenie. Ale to nie było niczem w porównaniu z bezpośredniemi wrażeniami na jego koncercie w warszawskiej Filharmonji. Sugestywnie działa na słuchacza wyniosła postać Rachmaninowa i sposób, w jaki on fizycznie włada nad instrumentem. Używając mało pedału, uzyskuje efekt wspaniałej i jedynej w swoim rodzaju rytmiki. Technikę posiada olbrzymią, oraz bogactwo i okrągłość frazy (np. Mozart). Jako kontrast wprowadza olśniewającą spiczasto-rytmiczną dynamikę w utworach własnych i np. Liszta, co ułatwi mu największa wśród żyjących pianistów rozciągłość palców (uderza interwał 11 klawiszy z łatwością). Gra zawsze z obrączką ślubną na ręce.

Za drugą ojczyznę obrał sobie Rachmaninow Szwajcarję. Nad jeziorem „Czterech Kantonów" wybudował luksusową willę w miejscowości Hertenstein i tam wypoczywa w gronie najbliższej rodziny po trudach corocznie odbywanego tournee koncertowego.

Juliusz Leo



Wielką miłością otacza mistrz swe wnuki.

Na prawo w kole: Odlew gipsowy rąk Rachmaninowa, zaliczanego obok Paderewskiego i Józefa Hoffmana do pierwszej trójki największych pianistów świata.

Zdjęcia Zygmunt Borzęcki — Lucerna.

Poniżej: Początkowe cztery takty słynnego Preludjum Cis-moll, Op. 3. Nr. 2.





Wielkanoc in illo tempore...



Czasy dzisiejsze cechuje naogół brak przywiązania do tradycji. — Wśród kłopotów i trudów codziennego życia, mamy oczy zwrócone wciąż ku jutru i może niechcący, lekceważymy nieraz szereg staropolskich obrzędów i zwyczajów wielkanocnych. — Jeżeli nawet „nowoczesny duch czasu", ogólna pauperyzacja i t. p. czynniki nie pozwalają nam na kultywowanie niektórych z nich, warto choćby dla przypomnienia, jak to dawniej bywało, przytoczyć kilka obrazków charakterystycznych i wyjaśnić ich powstanie.

Wielkanoc wypada u nas w okresie wiosennym, a więc mniej więcej wtedy, gdy nasi pogańscy praojcowie urządzali „święto wiosny". Nic więc dziwnego, że wiele tradycyjnych obrzędów wielkanocnych, zachowywanych przez naszych przodków i utrzymywanych po dziś dzień po wsiach, korzeniami swemi tkwi w tych zamierzchłych czasach pogańskich. Do nich należy topienie na wiosnę, w okresie wielkanocnym, kukły czyli lalki słomianej, symbolizującej zimę i śmierć, a nazywanej w jednych okolicach Polski „śmiertaczką", w innych „marzanną". Po zatopieniu takiej kukły lub spaleniu jej na granicy wsi, wraca młodzież do wsi z zielonem drzewkiem, przystrojonem wstążkami. O tym symbolicznym akcie wprowadzenia wiosny a z nią nowych sił i radości do życia, wspomina już Długosz; zwyczaj to więc starodawny, ale i dziś jeszcze w niektórych okolicach Polski pieczołowicie pielęgnowany.

Staropolskie „święcone" ma także swoją wiekową tradycję, która i dziś nawet, mimo „kryzysowych kieszeni", bywa podtrzymywana. Nie szczędzi się trudu i jadła, by przy suto zastawionym stole wielkanocnym zgromadzić rozproszonych po kraju członków rodziny i podzielić się z nimi święconem jajkiem. Stare kroniki utwierdzają nas w przekonaniu, że zwyczaj ten sięga bardzo odległych czasów i że współczesne „święcone" równać się nie może z tem, co można było widzieć w przeciętnym staropolskim dworze. A i wtedy już podnosiły się nieśmiałe protesty przeciw tym lukullusowym ucztom wielkanocnym, przeciw owemu barbarzyńskiemu „obżarstwu i pijaństwu", którym się nadmiernie oddawano w dniu Zmartwychwstania Pańskiego. Jednak obrońcy starodawnej tradycji z Mikołajem Rejem na czele, ostro przeciwstawiali się tym hasłom, zmierzającym do ukrócenia przepychu i wspaniałości uczt wielkanocnych. A oto jak wyglądało takie wspaniałe „święcone" u ks. Sapiehy z czasów Władysława IV:

„Stało cztery przeogromnych dzików, to jest tyle części roku, każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitym tych odyńców. Stało tandem dwanaście jeleni, także całkowicie upieczonych, ze złocistymi rogami, ale do admirowania nadziane były rozmaitą zwierzyną, alias zającami, cietrzewiami, dropiami. Te jelenie wyrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste tyle, ile tygodni w roku, całe cudne placki, mazurki, żmujdzkie pierogi, a wszystko wysadzanę bakalią. Za tym było 365 babek, to jest tyle ile dni w roku. Każde było adornowane inskrypcjami, floresami, że niejeden tylko czytał a nie jadł..."

Mieszczaństwo polskie również nie ustępowało szlachcie w trosce o przystrojenie stołu wielkanocnego, czego dowodem taki oto opis, pozostawiony przez Mikołaja Chroberskiego:

„Stół okrągły na środku, wielki, dębowy, żeby stu ludzi koło niego wygodnie siadło i jadło. Obrus na nim jeden wielki, ale w krzyż zeszywany, tak, że ledwo się wpatrując bardzo, poznać to. Na sześciu misach srebrnych, roboty wspaniałej, były mięsiwa wędzone, wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrąglutkich, kiełbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru krokoszowego, ciemnego, ustrojone rzędami jaj święconych i pisanek, pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. — Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu w różową barwę wpadającą. Pomiędzy temi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncjusz Piłat wyjmował kiełbasę z kieszeni Mahometan, a wiadomo, że Żydzi i Turcy nie jedzą wieprzowiny, więc to na nich epigrama było pocieszne. Na samym środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki, ale ja bych za cały stół wziął jemu oczy, a wszakoż to były dwa brylanty, jak laskowe orzechy, w czarnej oprawie, alias pierścienie, ukryte w maśle, których tylko tyle było widać, ile potrzeba na okazanie oczu. Na baranku wełna maślana nie do poznania była od prawdziwej. Jeszcze były tam całe sterty: kołaczów, placków, jajeczników. Jeden kołacz miał średnicy osiem łokci, a gruby był na dwie pięści. Jeden był naodwrót taki placek, co w środku miał sadzawkę z białego miodu i wyglądały z niej rybki i nimfy kąpiące się, a Kupid strzelał do nich z łuku. Baby wielkanocne dochodziły do przeszło metrowej wysokości, tak, że niejednokrotnie trzeba było piec rozwalać, żeby je nieuszkodzone wyjąć..."

Naturalnie po zaściankowych dworach takiego przepychu nie było, ale i tu stoły uginały się pod ciężarem mięsiwa, ciast, babek i mazurków. Nasze dzisiejsze skromne „święcone" w małym tylko stopniu przypomina te „dawne dobre czasy", jednej rzeczy w każdym razie nie brak i na współczesnym stole wielkanocnym: baranka-symbolu niewinności zmartwychwstałego Chrystusa Pana oraz kraszanek, zwanych także pisankami. Tym to barwnie malowanym i prześlicznie nieraz ozdabianym jajom wielkanocnym godzi się poświęcić słów kilka.

Zwyczaj malowania jaj sięga również bardzo dawnych czasów. U pogan, a więc i w Polsce przedchrześcijańskiej, uważano jajko za symbol życia i odradzającej się na wiosnę przyrody. Kościół katolicki zachował miły zwyczaj dzielenia się jajkiem przy składaniu sobie życzeń świątecznych, co odpowiada łamaniu się opłatkiem w okresie Bożego Narodzenia.

Średniowieczny kronikarz, Wincenty Kadłubek, wspomina o „malowanych jajach", zatem pisanki znane są na ziemiach polskich od niepamiętnych czasów. Znano też oddawna zachowaną po dziś dzień w niektórych okolicach zabawę z malowanemi jajami, która polega na tem, że chłopcy i dziewczęta ofiarowują sobie pięknie zdobione kraszanki, wystawiając je potem wśród najrozmaitszych ewolucyj na próbę wytrzymałości. Która skorupka mocniejsza i nie stłucze się, tego uczucia są trwalsze i silniejsze. Zwyczaj obdarowywania się pisankami istnieje do dnia dzisiejszego na Huculszczyźnie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie, fakt ofiarowania komuś kraszanki świadczy o specjalnem wyróżnieniu i głębokiej życzliwości. W niektórych okolicach Polski lud wierzy, że kamienie św. Szczepana zamieniły się w pisanki, stąd ma dla tych symbolów głęboką cześć i poważanie. Inna legenda przypisuje św. Magdalenie wprowadzenie zwyczaju malowania jaj. Ale i w czasach pogańskich znano je, a Owidjusz, Plinjusz i in. wspominają w swych dziełach o barwieniu jaj. W starożytnej Persji pięknie malowane a zwłaszcza złocone jajo stanowiło szczególnie cenny podarunek. Przepięknie rzeźbione szkatuły w kształcie jaja wychodziły już ponoć z pod dłuta Fidiasza, a średniowieczna sztuka złotnicza wiele trudu wkładała w przyozdobienie takich właśnie „jajowatych cacek". Ofiarowywali je królowie w okresie wielkanocnym ulubionym damom i dworzanom, otrzymując od nich wzamian niemniej cenne podarunki w kształcie jaja, jakiem była np. wspaniała karoca Ludwika XV.

Ten pobieżny przegląd dowodzi, że historja „jaja wielkanocnego" ma swoją wiekową tradycję podobnie jak jeszcze jeden zwyczaj, zachowywany powszechnie w drugi dzień świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Dyngus albo Śmigus wywodzi swe pochodzenie z okresu wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski, kiedy to wielkie rzesze ludzi chrzczono gremjalnie, polewając je wodą lub wprowadzając do rzek. Znany badacz staropolskich zwyczajów i obyczajów — ks. Kitowicz, szuka wytłumaczenia „lanego poniedziałku" w innej tradycji chrześcijańskiej: przypuszcza on mianowicie, że zwyczaj oblewania się wodą zachowano na pamiątkę Zmartwychwstania dlatego, iż żydzi jerozolimscy w taki właśnie sposób rozpędzali wiernych, skupiających się na wieść i zmartwychwstaniu Chrystusa. Ks. Kitowicz tak opisuje tę powszechną „swawolę", którą uprawiało w drugi dzień świąt wielkanocnych nie tylko pospólstwo ale i dystyngowane towarzystwo:

„Oblewali się rozmaitym sposobem amanci dystyngowani. Chcąc jednak tę ceremonję odprawić na amantkach swoich bez ich przykrości, oblewali je lekko, różaną lub inną pachnącą wodą po ręce małą jaką sikawką lub flaszeczką. Którzy zaś przekładali swawolę nad dyskrecję, oblewali damy wodą prostą... A gdy się rozswawoliła kompanja, panowie i dworzanie, panny i panie, lali jedni drugich cebrami wody, a kompanja dystyngowana, czerpając od nich, goniła się i oblewała od stóp do głów tak, iż wszyscy byli jakby wyszli z jakiego potopu. Bywało nieraz, iż osoba zlana wodą jak mysz, a jeszcze w dzień zimny, dostała stąd febry, na co bynajmniej nie zważano, byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi".

Dyngus zwany śmigusem utrzymał się do dnia dzisiejszego w mało co zmienionej postaci nie tylko po wsiach, gdzie w drugi dzień świąt rozlega się pisk dziewcząt, oblewanych wodą, ale i w miastach, w których „nowocześni amanci" zalewają pannom oczy tanią wodą kolońską. Miasta naogół nie wykazują niewolniczego trzymania się tradycji, zato wieś polska tłumnie bierze udział w tych wszystkich obrzędach obyczajowych, które stanowią niejako „arkę przymierza między dawnemi a młodszemi laty".

Mgr. Helena Bartoszek-Zastawniakowa.

Week-end w własnym domku! *)



*) Nasz dodatek świąteczny poświęcony week-

Week-end...

Oto słowo, które w ostatnich czasach zdobyło sobie pełne prawa obywatelskie chyba na całym świecie...

Znaczy to dosłownie „koniec tygodnia" i wszyscy wiedzą, o co chodzi — wiedzą nawet ci, którzy nie umieją po angielsku.

Anglja jest ojczyzną tego określenia i tego zwyczaju. W literaturze angielskiej od dziesiątek lat spotykamy się z zwyczajem wyjazdu na łono natury w sobotę i niedzielę — co dowodzi, że week- endy znane tam były i uprawiane powszechnie, zanim jeszcze przylgnęło do nich to właśnie określenie.

Że Anglja jest ojczyzną week-endu, dowodzi jeszcze inny fakt, a mianowicie określenie „angielska sobota"... Kończenie pracy w sobotę znacznie wcześniej, niż w inne dni tygodnia, oraz jednorazowa praca w sobotę, zamiast normalnej dwurazowej — jest jedną z pierwszych socjalnych zdobyczy angielskich i pod nazwą „angielskiej soboty" zyskała sobie naśladownictwo i popularność również w całym świecie.

Za „angielską sobotą" poszedł tedy week-end — no bo jeżeli nie trzeba iść do pracy, to już popołudniu w sobotę można opuścić mury miasta i aż do niedzieli wieczorem cieszyć się swobodą na tle natury.

Lekarze oczywiście ubrali week-end w bardzo poważne określenia i zbudowali na nim obfitą statystykę. Orzekli oni, że week-end spełnia niezmiernie ważną rolę dla zdrowia. Jest oddechem na cały tydzień pracy.

Anglicy, będący najwięcej wysportowanym narodem świata (w ścisłem pojęciu sportu, a nie wychowania fizycznego czy przysposobienia wojskowego) połączyli oczywiście z week-endem swe zamiłowania sportowe. Koń, łódź, narty, różne gry sportowe stały się nieodłącznemi akcesorjami week-endu.

Do niedawna week-end u nas był pewnego rodzaju przywilejem tych, którzy mieli przedewszystkiem własne środki komunikacji — a więc albo wytworne auto, albo demokratyczny rower... Ostatnio jednak ruch ten zatacza coraz szersze kręgi, a walnie przyczynił się do tego rozwój komunikacji autobusowej, oraz nowość w dziedzinie kolejnictwa: pociągi popularne, których „czasy" odejścia i przyjścia obliczone są już zgodnie z ramami angielskiej soboty.

Drugie jeszcze anglo-saskie hasło zdobywa sobie obecnie u nas pełne prawa. To „keep smiling"... Jest to hasło optymistów, którzy twierdzą, że z uśmiechem łatwiej jest wywalczyć sobie... uśmiech w życiu.

Ideałem week-endu jest połączenie go z „keep smiling"...

Jeśli taki „koniec tygodnia", spędzony na świeżem powietrzu, da organizmowi naszemu zdrowie na cały tydzień pracy w mieście, a w dodatku natchnie nas pogodą i optymizmem, dając nam zdrowie moralne — wtedy naprawdę osiągniemy ideał week-endu.

Niezależnie od wieku, niezależnie od możliwości finansowych — możemy zawsze zorganizować sobie week-end — czy jest to lato, czy zima. Zdobycz zdrowej rasy anglosaskiej, upowszechniona w całym świecie, rozpościera wszędzie powiew zdrowia, łowionego na tle przepięknej zawsze i wszędzie przyrody — i zmusza wszystkich do powszechnego, słonecznego spojrzenia na miniony i na przyszły tydzień pracy.

A więc hasła nasze: week-end — i... „keep smiling"!...

Drobiazgi

KTÓRE TWORZĄ NAM KOMFORT



Dokładne sprzątnięcie stołu po posiłkach jest zawsze czynnością nudną i męczącą, to też nie zapomnijcie **o ceracie** na stół, która zaoszczędzi wam kłopotu.

★



Przebywanie na week-endzie nie powinno powodować zmięcia lub zniszczenia ubrań: porządny **wieszak** musi znaleźć się w domku week-endowym.

★



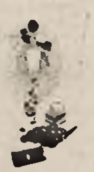
Gdy podczas wypoczynku sobotniego pada deszcz, trudno nam chodzić na spacery, wtedy miłą rozrywką będzie gra w karty lub pasjanse. Pamiętajmy zatem **o kartach.**

★



Chcąc naprędce zagrzać wodę na herbatę, naprzykład podczas pikniku, przyda nam się w tym celu **maszynka spirytusowa,** należąca do zasadniczego ekwipunku naszej „rezydencji".

★



Nieodzownym rekwizytem podczas pobytu na wsi jest solidny, wytrzymały **koszyk na prowianty,** które będziemy kupowali w pobliskiem miasteczku.

★



Nietrudno jest o wypadek, zadraśnięcie, czy poważniejszą ranę, gdy się pracuje samemu w charakterze gospodyni, cieśli, ogrodnika itd. Mała **apteczka domowa** z jodem, bandażem, aspiryną, spirytusem 90-procentowym, watą itd. — powinna się znaleźć w waszym domku.

★



Mała skrzynka z najpotrzebniejszemi **narzędziami,** jak młotkiem, obcęgami itd. jest ważną pozycją w wewnętrznem urządzeniu domu.

★



Ileż razy wypadnie wam wyjść wieczorem do ogrodu, czy też poszukać czegoś nocą: nieodzowna jest więc **latarka** ręczna, która wam zastąpi oświetlenie miejskie.

★



Swobodny tryb życia, wylegiwanie się na trawie, dalekie spacery i inne rozrywki wiejskie nieraz dadzą się we znaki waszej garderobie, dlatego szkatułka z różnego rodzaju **nićmi, igłami, guzikami** itd., odda wam niebylejakię usługi.



Jak się ubrać na week-end?



Wyjazd na week-end jest równoznaczny z „zawieszeniem na kołku“ ubrań wizytowych i wieczorowych jako zbędnych w okresie, przeznaczonym wyłącznie na przebywanie na łonie natury. Zato dochodzą do głosu najrozmaitsze odmiany stroju sportowego, który w żadnym wypadku nie powinien składać się z części różnych garniturów, przeznaczonych na „znoszenie“. Dla pana najodpowiedniejsze będą t. zw. koszulki polo i do nich shorty, długie flanelowe spodnie, lub wkońcu pumpy.

* *

Życie w domku weekendowym nastręcza pięknej pani wielu okazyj do wykazania umiejętności w wykonywaniu czynności gospodarskich, które wymagają też specjalnego stroju. Zamieszczone obok modele różnych fartuszków są niezwykle twarzowe i oryginalne w kroju.



Przed wyruszeniem na week-end trzeba sprawdzić, czy wszystko potrzebne zostało zapakowane...



Podczas week-endu najlepiej nosić sukienki sportowe, które są wygodne i praktyczne.

Tak wyglądają nasze marzenia...

TANI—PIĘKNY—WYGODNY
DOMEK WEEK-END'OWY



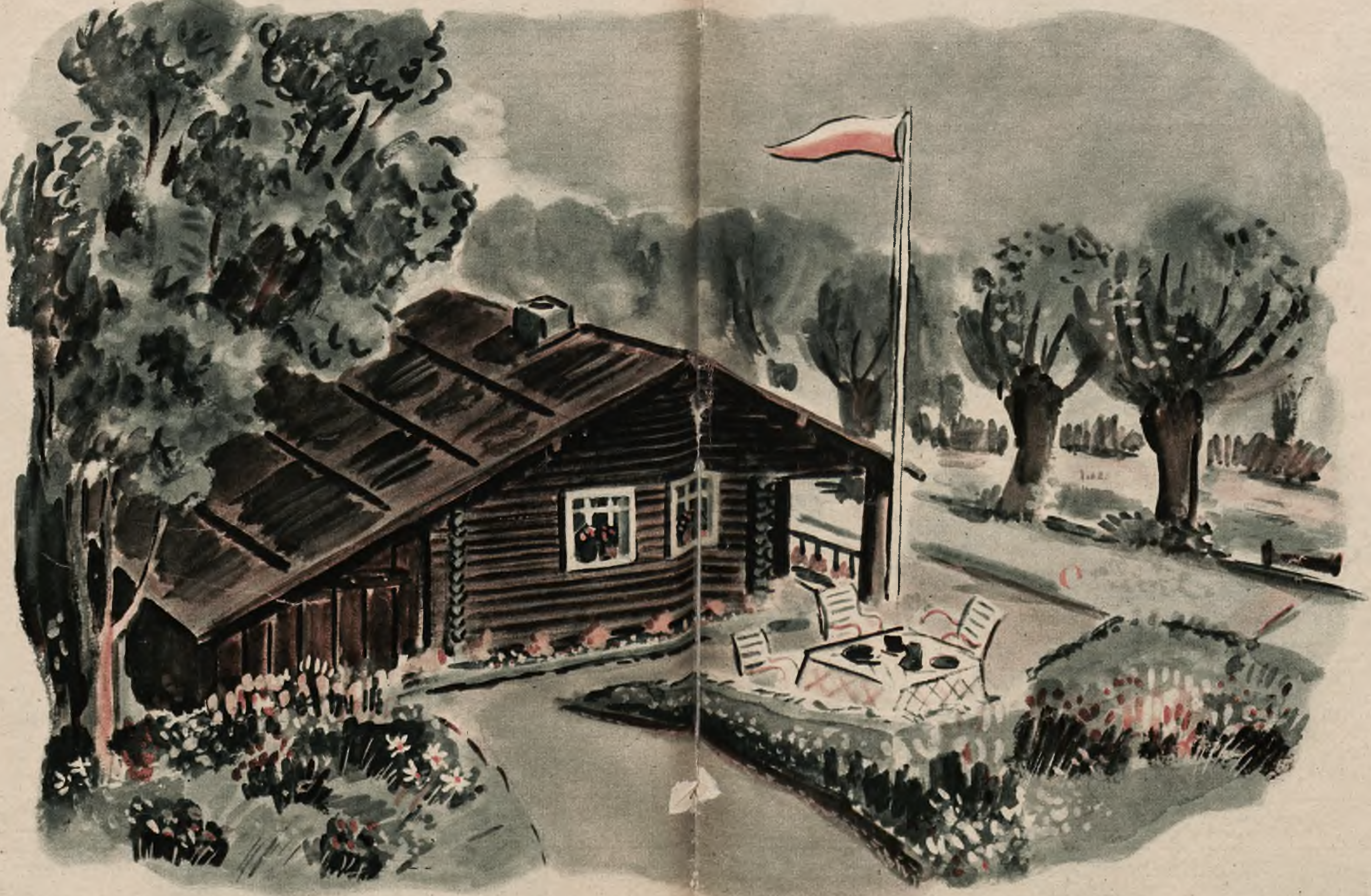
Strona frontowa domku z wejściem.

WYBIERAMY TEREN

Czy to dziedzicząc po rodzinie, czy też z wolnego wyboru posiadacie w okolicy jakiejś wsi kawałek ziemi. Jeżeli własność pochodzi z dziedzictwa upewnijcie się, że tytuł własności jest w porządku i że grunt wytyczony jest szczegółowo, jeżeli natomiast nie znajduje się w pobliżu drogi, że prawo przechodu ściśle ustalone jest z sąsiadami. Są to szczegóły drobne, ale ważne, gdyż nie na to jedziemy na wieś z rodziną, aby kłócić się ze sąsiadami. Jeżeli pan wybiera sam dany teren trzeba zwrócić uwagę na to, aby skierowany był na wschód lub na południe aby mu nie groził zalew i aby widok nie mógł być zasłonięty. Należy pamiętać o tem, że wielkie oddalenie od wsi utrudnia załatwianie sprawunków i że ciężka droga może przyczynić przykrości osobom posiadającym samochód.



Tylna strona domku.



WEEK—END TO SAMO ZDROWIE!

W ostatnich czasach znaleziono niezawodne antidotum na przykre i niezdrowe strony współczesnego życia, „wynajdując" week-end. Do 15 dni minimalnego urlopu rocznego dochodzi jeszcze 50 „końcówek" tygodniowych w ilości dwóch dni, czyli w całości powyżej stu legalnych świąt. Nie jest to byle co, gdyż wynosi przecież nieomal 1/3 roku. Czyż tyle wolnego czasu nie wymaga, abyśmy posiadali własny domek, celem miłego i wygodnego przebywania w dobrem, zdrowem powietrzu? Nie chodzi tutaj o siedzibę wiejską, w której spędzamy resztę naszego życia, ale o domek w odległości od 30—150 km od miasta, czy mniejszej miejscowości, o domek możliwie romantyczny, ale równocześnie praktyczny, o którym możnaby powiedzieć: „Mój domek week-endowy nie potrzebuje żadnych zabiegów i nie powoduje żadnych wydatków. A pozatem jakież tam są piękne drzewa i wspaniały widok na rzekę... Taki miły i zaciszny!".

Bywają marzenia, które można ziścić. Do nich należy właśnie ten domek week-endowy. Namyślcie się nad tem zagadnieniem, przestudjujcie je, a zobaczycie, że „nie święci garnki lepią!", a przez długie lata będziecie mogli korzystać z rozkoszy, jakie daje domek week-endowy.

KOMFORT REALIZUJEMY W DWÓCH LATACH

Proponujemy wam „dwulatkę"; przecież tego rodzaju plany są dzisiaj bardzo modne i stosowane przez różne państwa. W pierwszym roku domek pozbawiony będzie jeszcze większego komfortu, co zresztą może nawet przyczynić się do stworzenia pewnej „romantyczności" nastroju. W każdym jednak razie będzie on na tyle solidnie zbudowany, że zaoszczędzi wam dwóch klęsk nowych domów, tj. wilgoci i reparacji. Zbudowanie takiego domku kosztować was będzie mniej więcej 1800 zł. Oczywiście cena waha się zależnie od okolicy. Komfort, dzisiaj tak niezbędny dla kulturalnego człowieka, zagości w domu w dwóch etapach: w pierwszym roku doprowadzi się wodę z pomocą pompy, co będzie kosztować około 400 zł., w drugim roku urządzi się instalację na ciepłą wodę kosztem około 500 zł. Z ciepłą wodą o tyle trzeba się liczyć, że napewno zagustuje pan w swojej week-endowej rezydencji i powróci tam zimą. Za tę niewielką stosunkowo sumę upiększy i urozmaici pan swoje życie.

Zauważmy na marginesie, że suma, której potrzebujemy na zbudowanie domku jest tak niewielka, iż niejeden będzie mógł pokryć ją ze swych oszczędności, bądź też pożyczyć ją na dobrych warunkach.



Domek od strony rzeki.

BUDUJEMY Z DRZEWA

Domek zbuduje pan z drzewa, gdyż drzewo jest u nas tanim materjałem, świetnym izolatorem, pozwala wydobyć ze siebie dekoracyjne momenty i nada pańskiemu domkowi wygląd oryginalny i dostosowany do okoliczności. Oczywiście, że zbudowanie takiego domku będzie tem łatwiejsze, im więcej lasów jest w danej okolicy. Robota cieśli nie będzie trudna: belki nacięte na końcach zostaną ułożne jedna nad drugą, tworząc ściany, następnie zostaną pokryte od wewnątrz woskowanemi deskami. Mury również można zbudować z kloców sosnowych o wymiarach sześć na osiemnaście centimetrów. Okna umieszczamy między zewnętrzną ścianę a wewnętrznem pokryciem, drzwi zaś i nadproża robimy z dykty.

W ten sposób zbudowany domek będzie miał tę zaletę, że da nam t. zw. „dach nad głową" z pewnym komfortem, będzie dosyć solidny, abyśmy nie potrzebowali się obawiać, że zniesie go wiatr lub woda i pozwoli nam wykorzystać w pełni „week-end".



Domek od strony garażu.



C — GŁÓWNE WEJŚCIE.

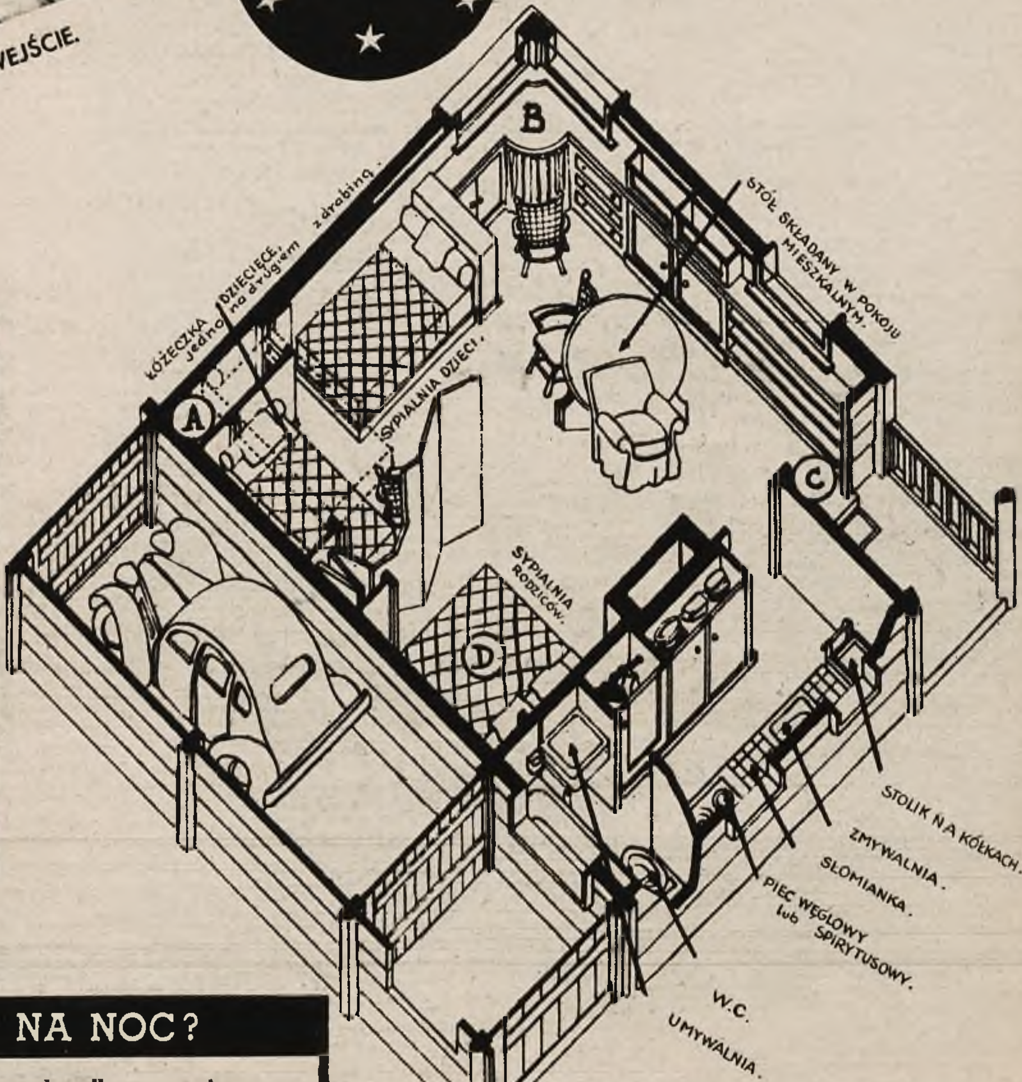


A — ŁÓŻKO DZIECI.

Mieszkanie w nocy.



D — ŁÓŻKO RODZICÓW.



JAK URZĄDZIĆ SIĘ NA NOC?

W domku week-endowym, którego schemat podaliśmy na str. 20 i 21, przewidziana jest tylko jedna ubikacja mieszkalna. Ten stosunkowo duży pokój musi zatem służyć mieszkańcom równocześnie za sypialnię, jadalnię i salon. Z tego powodu urządzenie powinno być tak pomyślane, aby poszczególne meble dawały się w łatwy sposób dostosowywać do danych okoliczności życia mieszkańców. I tak przedewszystkiem łóżka trzeba albo ukryć w ścianach, albo poprostu przeznaczyć na nie tapczany. Dla dzieci, jeśli i one mają zamieszkać w domku, wystarczą też rozkładane na noc fotele, które podczas dnia stanowią ozdobę bawialni. Z pomocą parawanu uzyskamy łatwe rozdzielenie sypialni starszych od sypialni dzieci. Stół, który za dnia stoi na środku pokoju, musi być na noc złożony tak, by przy porozsuwanych łóżkach nie zajmował zbyt wiele miejsca.

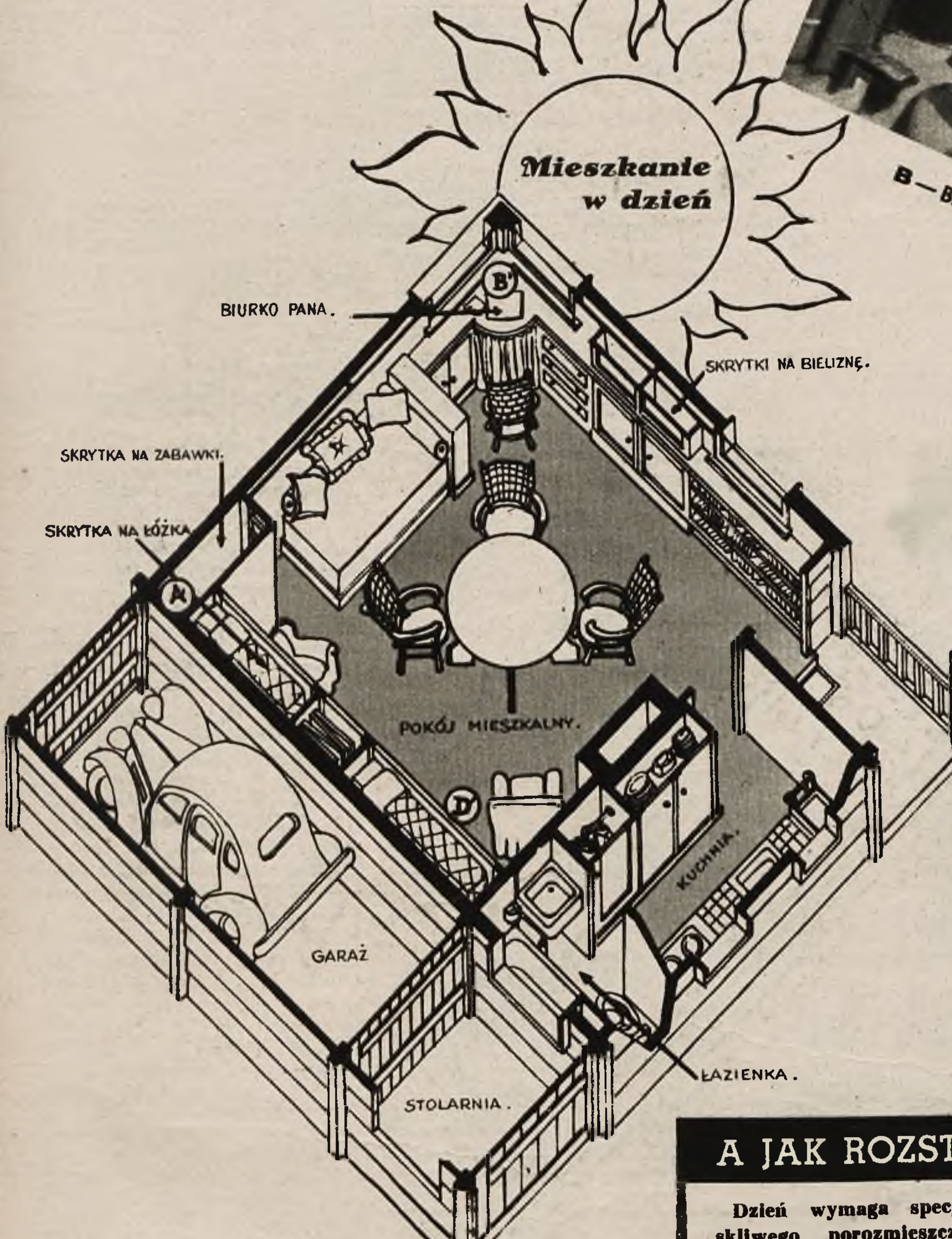
★ Urządzenia gospodarcze domku są równie ważne, jak te, które odnoszą się do pokoju mieszkalnego. A więc w pierwszym rzędzie ekonomiczna kuchnia z piecem, dostosowanym do opału, który można dostać najłatwiej i co za tem idzie najtaniej w danej okolicy. Potem doprowadzenie wody, odpowiedniej do picia i gotowania, z pomocą ręcznej, lub mechanicznej pompy. Wkońcu ważne dla przyzwyczajonych do komfortu urządzenie łazienki z t. zw. boiler'em nad piecem kuchennym.



A — ŁÓŻKO DZIECIĘCE JEST UKRYTE PODCZAS DNIA.



B — BIURKO PANA DOMU.





D — RÓWNIEŻ I ŁÓŻKO RODZICÓW JEST UKRYTE ZA DNIA.

★ Na powyżej zamieszczonych ilustracjach (A i D) widzimy urządzenie na dzień tych partyj pokoju, gdzie w nocy stoją łóżka. Chowa się je do specjalnych szaf w ścianach. Osobne pomieszczenia przewidziane są na samochód, oraz na stolarnię, w której pan domu (jeśli ma takie zamiłowania) może sam dokonywać naprawek różnych przedmiotów codziennego użytku, przygotowywać drzewo na opał, a nawet bawić się w stolarza, fabrykującego mebelki czy zabawki dla dzieci.

A JAK ROZSTAWIĆ MEBLE NA DZIEŃ?

Dzień wymaga specjalnie troskliwego porozmieszczania mebli w pokoju, przez który przewija się życie mieszkańców małego domku week-endowego. Jeśli jest pogoda, to jeszcze pół biedy, bo większą część dnia przebywa się dosłownie na łonie natury. Ale gdy deszcz pada i na krótki spacer nawet nikt nie ma ochoty, natenczas długie wspólne przebywanie w jednym pokoju nastręcza wiele okazyj do wyszukiwania niedogodności, wynikających z naturalnego braku urządzeń, do których jest się przyzwyczajonym w mieście, a których wprowadzenie do małego domku week-endowego równa się fizycznej niemożliwości. Dlatego to, projektując urządzenie takiego home'u musimy liczyć się z koniecznością połączenia kilku funkcyj, jakie ten jeden pokój ma spełnić podczas dnia, a więc jadalni, bawialni dla starszych, pokoju dziecinnego, gabinetu pana domu, wkońcu i buduaru pani.

WYROBY PRZEMYSŁU LUDOWEGO

najlepiej ozdobią domek week-end'owy

Odwieczna, nurtująca istotę ludzką żądza tworzenia, współdziałania i współzawodniczenia z naturą w urządzaniu świata — nakazała rękom pierwotnego człowieka upiększyć pierwsze, prymitywne narzędzia z krzemienia, kości, metalu i drzewa. Był to prosty zrazu, i zdawaćby się mogło, nikomu na nic niepotrzebny rysunek i ornament. Tworzeniu przez człowieka celowej formy przedmiotu — towarzyszył nieomal od początku zmysł estetyczny i nerw do zdobnictwa.

W każdym szczepie, plemieniu, czy społeczeństwie wyróżniały się jednostki, które pojmując potrzebę surowego narzędzia, czy przedmiotu codziennej potrzeby — starały się nadać mu kształt nie tylko logiczny, celowy, ale także o artystycznej wartości.

Garncarstwo — jedna z najstarszych form przemysłu prymitywnego — wykazuje to chyba najjaskrawiej. Garnek czy naczynie gliniane o dowolnym kształcie, którego przeznaczeniem stało się ciągłe sąsiedztwo człowieka, natychmiast został ubrany w szatę artystyczną. Zrazu zdobiono go wzorem, czy ornamentem plastycznym, by po jakimś czasie polać szklącą polewą w wszystkich kolorach tęczy.

Sztuka ludowa w swych powolnych ewolucjach i konserwatywnej formie — sięga jako surowy przemysł artystyczny odległych, okrytych pomroką zapomnienia dziejów. — Tak, jak ongiś okazy tego ludowego przemysłu artystycznego były silnie i nierozerwalnie związane z życiem człowieka, który nie mógł sobie pozwolić na przedmioty piękne, ale bezużyteczne — tak i dziś są one rzeczami użytkowemi o praktycznem znaczeniu. Sprzęty, narzędzia, przedmioty kultu religijnego, odzież i wnętrze mieszkania — posiadają niezaprzeczoną, logiczną i odpowiadającą celom formę i konstrukcję, odznaczając się równocześnie ozdobną szatą zewnętrzną, która potrafi zaspokoić wrodzony zmysł estetyczny człowieka, któremu służy.

Łączność współczesnej sztuki ludowej z jej tradycjami wykazuje wyraźnie garnarstwo, którego wiele form przypomina kształty ceramiki wykopaliskowej z przed wieków.

Duży dziś stosunkowo rozwój przemysłu artystycznego u ludu zawdzięczać należy dwom przyczynom: skierowaniu produkcji wyrobników wiejskich do miast, na co wpływa po części bezprzykładna nędza wsi (dawniej produkcja tego przemysłu zaspakajała wyłącznie potrzeby wsi), i dość dużemu zainteresowaniu u społeczeństwa. Są to czynniki, które powstrzymują zanik tej sztuki i przemysłu.

Zainteresowanie miasta, jako decydującego argumentu w rozwoju przemysłu — do niedawna było wprost znikome. Jeszcze niewiele lat temu nieliczni tylko zapaleńcy i zwolennicy folkloru — oczarowani sztuką ludową okazywali dla niej pełną życzliwość — gromadząc okazy i zachęcając społeczeństwo do popierania jej i ochrony.

Były to wysiłki, przedwczesne, jednak nie zmarnowane. Szerokie warstwy inteligencji odnosiły się przez wiele lat do grającej wszystkiemi barwami i świeżej sztuki — niechętnie, z pobłażaniem, czasem nawet wręcz wrogo. Typowy dla wielu narodów snobizm kazał zapełniać mieszkania najrozmaitszemi przedmiotami, często nawet okazami folklorów innych narodów, przy równoczesnem pominięciu wyrobów ludowych pochodzenia polskiego.



Czarna ceramika polska na tle czarno-białego weretu huculskiego. Na stole mata wileńska.





Od lewej: Wileńskie samodziały lniane na kotary i obicia mebli, i figura Jezusika Frasobliwego, roboty artysty Wowry, z pod Wadowic. Na pierwszym planie ceramika wileńska. — Kotara starołowicka w kratę, pasiaki i ceramika łowicka Konopczyńskiego z Bolimowa.

Dopiero klęska secesji, której epigoni — wiedeńska i czeska tandeta serjowa zalewająca do dziś nasze rynki — oraz świt nowej sztuki dekoracyjnej i architektury nowoczesnej, prostej i czystej w linjach — pozwoliły ujrzeć nareszcie przedmioty, które tak długo czekały na spojrzenie nabywcy.

Kilkanaście zaledwie lat temu nastąpił ten szczęśliwy zwrot. Zrazu pokazały się jakieś drobiazgi ludowe, skrawki tkanin, hafty. Domy, znajdujące się w okolicach o silnie rozwiniętym przemyśle artystycznym ludu — pierwsze zapełniły się temi wyrobami. Zczasem przyszła kolej na miasta. Tendencje i prądy prymitywizmu nurtujące sztukę europejską pozwoliły i ułatwiły szybsze zrozumienie przebogatej sztuki ludowej i ocenienie jej wysokich walorów. Zwolna ludność miast przyzwyczajona do monotonnej szarości — oczarowana została świeżością i bezpośredniością kolorów, form i faktur wytworów ludowego przemysłu artystycznego. Wraz ze wzrostem konjunktury na wyroby ludowe, zaczęła się też spekulacyjna próba zmechanizowania tej wytwórczości. Niekorzystny ten fakt najsilniej dał się odczuć na Podhalu, (wiele uzdrowisk i miejscowości letniskowych), dokąd najszybciej dotarły liczne rzesze ludności miejskiej. Rozpoczęto masową produkcję wyrobów t. zw. ludowych, które fabrykowano jako pamiątki z danych okolic, czy miejscowości.

Ta produkcja nie mająca nic wspólnego z autentycznym przemysłem artystycz-

nym ludu, a prowokowana konjunkturą, zaśmieciła poważnie rynek. Przeciwko niej i w obronie prawdziwej sztuki ludowej wystąpiło szereg osób, organizacyj, wreszcie nawet sfery rządowe, które opieką, fachową radą i pomocą finansową nie tylko powstrzymały ją od upadku, ale pomagają w rozwoju, prowadzą należytą propagandę i edukują zastępy kontynuatorów pięknych tradycyj ludowego przemysłu artystycznego.

Polska jest jednym z ostatnich krajów europejskich, które posiadają przebogatą, a nadewszystko żywą sztukę ludową. Powinni to zrozumieć konsumenci przedmiotów dekoracyjnych, a więc całe dosłownie społeczeństwo.

Coroczne pokazy najróżniejszych wyrobów, jak stroje kobiece, makaty, wyroby wełniane i lniane — urządzane przez Towarzystwa Popierania Sztuki Ludowej, Szkoły Przemysłowe wszystkich dzielnic Polski, Seminarja krawieckie i stałe wystawy (A. R. W. Towarzystwo Ochrony Sztuki Ludowej w Warszawie, ul. Królewska i Tamka, Łapczyński w Krakowie przy ul. Podwale i in.) dowodzą jasno, że wyroby te mają bardzo szerokie zastosowanie, odznaczają się doskonałym smakiem, przedstawiając jednocześnie wysoką wartość artystyczną. Poza wszystkiemi temi walorami, nie są one w dodatku serjowemi produktami fabrycznemi, które znaleźć można wszędzie, ale posiadają posmak unikatów nie powtarzających się w rysunku, wzorze, czy kolorze.

Mieszkanie i jego urządzenie, które jest wyrazem, nie dającym się utaić — ludzi w niem mieszkających — potrzebuje ustawicznej, czułej opieki swych właścicieli. Co jakiś czas okazuje się, że trzeba coś zmienić, zastąpić czemś innem, że tu przydałaby się kotara, a tu znów ściana wygląda nieco pusto.

Rzecz oczywista, że w wielu wypadkach odkrycie potrzeby wydania pieniędzy, staje się przykrą rzeczywistością. Czasem zaś pieniądze zbędne wydaje się na byleco, byle zapełnić rażący brak. Jednak i potrzeba i chęć wydania pieniędzy umilana bywa zazwyczaj wtedy dopiero, gdy okaże się, że potrzebne przedmioty zakupiono tanio.

Pomijając, że jest to zupełnie mylny punkt widzenia, gdyż kupując tanio normalne wyroby fabryczne, otrzymuje się towar w złym gatunku — okazuje się wkrótce rzecz najgorsza: tandeta jest nie tylko nietrwała, ale i rozpaczliwie brzydka, nie gustowna, wręcz odpychająca.

Wyroby ludowego przemysłu artystycznego poza swemi wartościami artystycznemi posiadają jeszcze jeden wielki plus. Są tanie, a przytem bardzo trwałe.

W małym i tanim, ale wygodnym i przedewszystkiem gustownie urządzonym domku week-endowym powinny w pierwszym rzędzie znaleźć się właśnie wyroby ludowe. Będą one doskonale pasowały do surowej prostoty małego wypoczynkowego domku, nie będą raziły na tle otaczającej budynek natury i wreszcie nie podrożą, a wręcz zmniejszą koszty wyposażenia wnętrza.



Wnętrze domku week-endowego. Na podłodze mata, na tapczanach obicia z samodziałów ludowych.



Krajki huculskie i ceramika kaszubska Necia z Chmielna, ustawione na „dróżce" wileńskiej ze słomy i nici.

Poniżej: Ceramika i tkaniny huculskie.



W domku week-endowym, położonym nad morzem, powinna znaleźć się przedewszystkiem ceramika kaszubska i to nie tylko jako użytkowa wartość, ale także jako akcent dekoracyjny wnętrza. Chodniki ułożone na podłodze, a zastępujące doskonale jednokolorowe filce czy bogate dywany, znaleźć można w ogromnym wyborze wśród wyrobów huculskich, czy t. zw. „szmaciaków", wyrabianych w Krakowskiem i na całem Podhalu. Na błyszczącej podłodze dobrze będzie wyglądać także słomiana „dróżka" wileńska pleciona ze słomy i nici. Taka tkanina słomiana utworzy również doskonałą dekorację ścian, lub służyć będzie jako zasłona do okien.

Na obicia tapczanów nadają się najlepiej trwałe materjały wileńskie z lnu. Olbrzymia różnorodność wzorów, kolorów i faktur ułatwi wybór. Na stołach znaleźć się powinna wyjątkowo piękna koronka kaszubska.

Na przestrzeniach nizinnych całej Polski, ceramikę dobierać można zależnie od okolicy, w której domek week-endowy został postawiony. Będzie więc do dyspozycji czarna, prymitywna, o surowym wyrazie ceramika poleska, czerwono polewana krakowska, kolorowa o delikatnych zestawieniach łowicka i wreszcie odznaczająca się szkliwem wysokiej wartości — ceramika wileńska.

Górskie domki week-endowe, których budowa i konstrukcja obliczoną powinna być także na zimę ,ozdobi ceramika huculska, o zielono-żółtym wzorze, i wreszcie cała masa odmian wyrobów ceramicznych z Podhala.

W górskich domkach week-endowych, w których trzeba będzie spędzać mroźne noce zimowe, należy pomyśleć przedewszystkiem o ciepłych tkaninach, które ułożone na podłodze, tapczanie, ławach przed kominem, chronić mają nie tylko przed zimnem, ale i tworzyć nastrój przytulnego i ciepłego zakątka, w którym mile jest się poruszać i do którego z przyjemnością wraca się po długiej wycieczce. Prócz tego w okolicach tych tanio kupić można skóry baranie, które swą puszystością i ciepłem zastąpią i przewyższą najlepsze wełniane koce, dając jednocześnie mieszkaniu specyficzny wygląd i charakter. Nie należy zapominać także, że sukno góralskie i huculskie tkane z czystej wełny, o typowym wyglądzie i zestawieniach barwnych może znaleźć szerokie zastosowanie w takim domku.

Wśród praktycznych przedmiotów wyrabianych przez lud, nie braknie łyżek drewnianych, przyborów kuchennych, koszyków na chleb, kolorowych mat na stół i tysiąca drobiazgów, niezbędnych w gospodarstwie.

Materjały na ubrania, pochodzące z wiejskich warsztatów tkackich stoją na bardzo wysokim poziomie. Płótna lniane, plecione na tysiączne sposoby, wełny i materjały lniano-wełniane zyskują coraz większe rzesze zwolenników. Dobrzeby było, aby Polacy zaczęli nosić kratki, paski i jodełki — wileńskie, kaszubskie, czy góralskie — zamiast paradować w „oryginalnych" materjałach zagranicznych.

Tak zatem, nie tylko mieszkanie w mieście i domek week-endowy można ozdobić wyrobami ludowemi o czysto polskiem pochodzeniu, ale i ubrać się podczas wakacyj i w mieście w tkaniny ludowe.



Na lewo: Wnętrze domku week-endowego proj. inż. arch. Bogusławskiego, w którym szerokie zastosowanie znalazły wyroby ludowe

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

SEN O BALU

WALC NA WIOSENNY KARNAWAŁ

KAZIMIERZ MEYERHOLD





PRZYGODA, KTÓREJ NIE BYŁO

HENRYK VOGLER

NOWELA

NOWELA WYRÓŻNIONA NA KONKURSIE „ASA“ NA NAJLEPSZĄ NOWELĘ

Prymus huczał i parskał, strzelając wgórę żółtym płomieniem. — Jasno się przez chwilę uczyniło w pokoiku, rozsapana maszynka wniosła ożywienie w klejącą się sennie nudę. W czerwonym ogniu zabulgotało nagle życie, tańczący płomień układał się w figlarne postacie chochlików, pląsających fantastycznie na zielonej łące. Student wstał, zapiął pod szyją nocną koszulę, którą niedbale wpuszczoną w spodnie nosił na sobie od rana. Był bardzo brzydki, a ten niechlujny strój potęgował jeszcze niesmaczne i przykre wrażenie, jakie budził. Pantofle na gołych nogach zakłapały o podłogę. Student ziewnął, podrapał się leniwie po niegolonych od dwóch dni policzkach i patrzył w małe okno, za którym szalał jasienny wiatr. Od dwóch dni nie wychodził wogóle na ulicę zrażony do życia, pogrążony w martwocie duchowej, otępiały. — Wicher w miasteczku gwizdał przeraźliwie, przygważdżał drzewa do ziemi, a potem puszczał je nagle, tak że z potępieńczym świstem podrywał się wgórę. Niekiedy zrywał się drobny deszcz i obryzgiwał niesforne okno. Taka pogoda wpływała zawsze deprymująco na studenta. — Zamykał się wtedy w swoich nędznych czterech ścianach, chodził po pokoju w negliżu, brudny, nieogolony i klął. Wyszukiwał najpyszniejsze, jędrne i soczyste przekleństwa, wymyślał zawiłe kombinacje najordynarniejszych możliwości, wymawiając je z namaszczeniem i godnością. Najoryginalniejsze notował. Niekiedy nawet mawiał, że ogłosi je drukiem. Dziwak był z tego studenta.

Teraz właśnie, gdy prymus zahuczał i zaparskał, student wstał, podciągnął spodnie i zapytał przyjaciela:

— Napijesz się może herbaty?

Przyjaciel skinął potakująco głową. Więc student sięgnął do małej szafki (wszystko tu było małe jak cały pokój: stół, trzy krzesła, kanapa, reprodukcja „Hołdu Pruskiego“ i głowa Stańczyka na ścianie), wyjął stamtąd herbatę, a potem postawił na prymusie rondelek z wodą. Ogień zahuczał ze zdwojoną siłą, grał teraz basem wesołą melodję, pomarańczowe i niebieskie języki płomieni wyskakiwały z maszynki, oblizywały dno i ściany rondelka. Padały od nich na popielate od pyłu ściany — jaskrawe refleksy światła. Parskanie ognia zagłuszyło wycie wiatru ulicznego, został tylko w oknie obraz gnących się drzew. Tumany powietrza skręcone w kółko miotały się pod niebem w bezsilnej pasji; został deszcz ciskany garściami w okno. — Ale wszystko pozbawione zagubionego w warkocie prymusa akustycznego podmalowania, było jedynie piękną scenerją, wyzutą z niedawnej jeszcze dramatycznej żywotności. Wtedy to właśnie student rozpoczął swoje opowiadanie:

— Przygoda, o której ci opowiem, zdarzyła się dwa lata temu. Będziesz pierwszym — i może ostatnim — który o niej usłyszy. Są rzeczy i zdarzenia, których nie powinno się wywlekać na światło dzienne, mieszać w hałaśliwej i gwarnej rozmowie z tysiącem każdodziennych banalnych faktów składających się na nasze życie. Leżą sobie na dnie serc jak stare zasuszone pamiątki i dobrze im tam. Tylko czasem, bardzo rzadko, wydobywa się je z ukrycia, zdmuchuje z nich kurz, oczyszczając je i oglądając w zadumie. Potem znowu wracają na długo na sam spód.

— Było wtedy lato. Dzień był lipcowy, ociekający słodyczą słońca, zamknięty od góry błękitem nieba, od dołu białym piaskiem i granatową rzeką, bo to wszystko działo się na plaży. Dzień był pełny i skończony, ot — nie można sobie było wyobrazić czegoś doskonalszego. To było szczęście skondensowane w lekkim powiewie, który płynął przestworzami i łagodnie gładził zieleninę pól rozłożonych w tyle poza plażą i szumiących z zadowoleniem. Gorący piasek parzył stopy, a ta gorącość szła od stóp wgórę, rozlewała się po całem ciele i przepajała serce ogromną radością. W takich dniach człowiek nagle zupełnie jasno pojmuje sens życia i uwolniony wreszcie od męczących dociekań duchowych wyciąga opalone na brąz ramiona do słońca. Tak też i ja czyniłem. Upijałem się tym czarownym likworem miodową esencją, płynącą z błękitów, niepomny, że poza tem może jeszcze istnieć coś innego. Cały byłem zwęglony od upału, białe spodenki kąpielowe na biodrach przecinały jasną kresą jednolitą czerń mojego ciała. Pod skórą rąk i nóg biegały mi ochoczo mięśnie, kiedy kroczyłem wysoki, mocny i nagi — czułem, że każde stąpnięcie wiedzie mnie ku szczęściu, ślad mej bosej stopy, który się żłobił w piasku i trwał, był symbolem mojej żywotności i mocy. Wydawało mi się, że jestem Robinsonem, który wolny buszuje po bezludnej wyspie, stawałem od czasu do czasu, przysłaniałem ręką oczy od blasku słonecznego i wypatrywałem na horyzoncie masztów okrętowych.

— Gdy tak spoglądałem dokoła, ujrzałem w pewnej chwili na rzece kajak. Był to dzień powszedni i na plaży było cicho. Ludzie siedzieli w mieszkaniach i pracowali (pracowali — rozumiesz? — gdy ja byłem szczęśliwy!), a na brzegu i na wodzie panował spokój. Dlatego odrazu zwróciłem uwagę na ów mały, zgrabny kajak, który pruł głęboką niebieskość rzeki, kołysząc się charakterystycznie z boku na bok. Siedziała w nim młoda dziewczyna. Z daleka widziałem tylko jej biały kostjum kąpielowy, złote włosy, które w blaskach południa jaśniały jak samo słońce i ramiona poruszające regularnie wiosłem. Rzeka w tym miejscu była szeroko rozlana i głęboka, środkiem płynął podwodny nurt i zdradliwe prądy wirowały tu w kółko. Ale dziewczyna zbliżała się pewnie i spokojnie, miarowe jej ruchy były wspaniale sharmonizowane, melodyjne i rytmiczne. Im bliżej mnie była, tem wyraźniej widziałem jej rzadką urodę, cudownie rzeźbione kształty, w białym, ściśle do ciała przylegającym kostjumie. Nagle ucichło serce w mojej szerokiej, mocnej piersi. Wydało mi się, że ta dziewczyna płynie wprost ku mnie, w ten cudowny lipcowy dzień zesłana mi prosto z nieba. Czekałem na nią.

— Wtedy właśnie nieznajoma zamiast ominąć zdradziecki środek i przemknąć się bokiem, wjechała w prąd. Działo się to niemal naprzeciw mnie. Rwący wir zahamował kajak w miejscu, obrócił go na poprzek. Ręce dziewczyny zaczęły pracować gorączkowo. Wiosło uderzało nierówno o wodę. Dał się słyszeć nerwowy chlupot fal. Kołowały się, rosły wgórę i rzucały się w siebie spienione i zbałwanione. I nagle kajak wykręcił się pionowo wgórę, przez mgnienie oka sterczał tak nieruchomo, aż z trzaskiem runął wdół. Ujrzałem jeszcze dwoje ramion trzepocących w powietrzu. I usłyszałem krzyk przesiąknięty do głębi obłędnym przestrachem.

— Dziewczyna tonęła — nie ulegało wątpliwości. W jednej chwili wybrzeża zamrowiły się ludźmi, którzy przybiegli niewiadomo skąd, mężczyźni, kobiety, dzieci, kąpiący się, wygrzewający w słońcu lub przechodzący przypadkiem w pobliżu, rozdziani lub też w zmiętych, okurzonych ubraniach. Z nieba lał się biały żar. Ustał nawet nie-

dawny leciutki wiatr, żaden szelest nie przefruwał pod rozgrzanym błękitem i cicho było, a na brzegach rzeki stali skupieni ludzie i w ponurym milczeniu spoglądali na rozgrywającą się przed ich oczyma walkę ze śmiercią. Może nikt z nich nie umiał pływać? A może obawiali się, bo wir w tym miejscu niejedną już ofiarę pochłonął? Dziewczyna zaś już nie krzyczała. Miotała tylko bezsilnie i tragicznie ramionami, woda tryskała wgórę i bryzgała dokoła. Wreszcie jakby ściągnięta za nogi niewidzialną siłą zniknęła pod powierzchnią, a woda zamknęła się nad nią i ukazały się na niej cicho bulgocące banieczki.

— Wtedy zdecydowałem się. Słońce, którem rozgrzewałem się i nasycałem na tej plaży od kilku dni, nagromadziło we mnie oddawna nieprzebrane zasoby energji i naładowało mnie nią jak akumulator, a ona drzemała wewnątrz i czekała tylko na iskrę, by wybuchnąć. Trzymałeś kiedy nad kawałkiem papieru soczewkę, usiłując w niej skupić promienie słoneczne? Przez wiele długich chwil papier trwa nieruchomy i bez zmiany, aż wtem w środku szkiełka zajaśnieje oślepiająca biel i nagle papier zajmuje się płomieniem, który strzela wgórę. Doznałem zupełnie podobnego uczucia. Zapłonął we mnie żar entuzjazmu, uczułem dla tej nieznanej mi dziewczyny dziwną, serdeczną tkliwość. Zbiegłem z piaszczystego nasypu wdół. Świat stanął przede mną otworem, leciałem z rozwartymi ramionami w blaskach słońca, w pełni lata, nagi, mocny i piękny, aż odbiłem się sprężyście od brzegu i przymknąwszy oczy rzuciłem się w wodę.

— Natychmiast opłynęła mnie chłodna ciecz. Potężnemi uderzeniami nóg jak nożycami krając wodę, rękoma zgarniałem pod siebie słodko pachnące jej płaty i sunąłem naprzód. Za chwilę uczułem gwałtowne szarpanie prądu, więc pochyliwszy głowę wdół spłynąłem na dno. Miotany podwodnym nurtem łagodnie balansowałem prężnem ciałem. Potem otworzyłem oczy. W zielonych głębinach fantastycznie majaczyły wodne rośliny, odłamki kamieni, piaszczyste wyspy sterczały groźnie i tajemniczo. Lawirowałem wśród tego wszystkiego szczęśliwy, szukając mej dziewczyny. I wreszcie natknąłem się na jej ciało cicho leżące na dnie, wyolbrzymione i zamazane w dziwnem świetle rzecznej głębi. Objąłem je krzepko lewą ręką wpół i odbiwszy się elastycznie od dna wypłynąłem na powierzchnię.

— Reszta trwała krótko. Dopłynąwszy z dziewczyną do brzegu, złożyłem ją nieprzytomną na piasku. Odrazu otoczyła nas zwartem kołem gromadka ludzi. Gorączkowo ratowali dziewczynę, krzątali się, zabiegali, rozpowiadali. I patrzyli na mnie z szacunkiem, z podziwem. Upał wisiał ciągle pod niebem, rozżarzony błękit przechodził w białość. Ja stałem wpośród tej rozgwarzonej, dygocącej od emocji gromady i czułem jak woda, z której się na kształt bożka Trytona wynurzyłem, schnie na mnie w żarze słonecznym, moje lędźwie, biodra, piersi i barki, zroszone rzeźwą wilgocią krzepną i rozrastają się. Dyszałem jeszcze ze znużenia, ale już coraz wolniej i coraz spokojniej.

— Tymczasem nieznajoma przychodziła do siebie. Obserwowałem ją. Teraz dopiero ujrzałem ją dokładnie. Białe, alabastrowe kształty, twarzyczka jak z kamei, usta rozchylone w uśmiechu pół jeszcze przytomnym, złote włosy rozsypane w nieładzie na piasku. Otwarła oczy. Szukała czegoś lub może kogoś. I nagle spojrzenie jej padło na mnie. Ujrzałem w niedocieczonej — jak woda, z której wypłynęliśmy — głębi jej oczu iskrę życia, płomień niezliczonych pragnień, wytęsknionych pożądań, może — czy ja wiem? — miłości? Patrzyliśmy w siebie długo.

— Ludzi tymczasem zbierało się coraz więcej. Ujrzałem pomiędzy nimi małego pożółkłego staruszka, który przecisnął się do środka, pochylił się nad dziewczyną i chrapliwie łkał: „Córko moja, córko, co się stało?" Chwilę trzymali się w uścisku, a potem człowieczek zerwał się i zawołał:

— Gdzie jest zbawca, gdzie ten człowiek? Chcę go przycisnąć do serca, chcę go wynagrodzić! Oddam mu wszystko czego zażąda, pieniądze, życie, wszystko! Gdzie on?

— A oczy dziewczyny utkwione promiennie w moich jarzyły się jak dwie gwiazdy i uśmiechały się. Czarne oczy złotowłosej dziewczyny w białym stroju kąpielowym wypełnione szczęściem.

— Uciekłem. — Przecisnąłem się poprzez gęstniejący coraz bardziej tłum, niezauważony skręciłem za pagórek, przebiegłem chyżo po nagrzanym słońcem piasku i zanurzyłem się pomiędzy krzewy bujnie rosnące w tem miejscu. Niosłem w sobie ostrożnie i tkliwie czarowny uśmiech uratowanej przeze mnie dziewczyny, w spalonej upałem piersi serce drżało mi dziwnie słodką niemocą. Może to była miłość? Nie wiem. Ale czemkolwiek-by to miało być, nie trzeba mi było więcej. Wystarczył mi ten jej uśmiech, którym po swym przebudzeniu oddała mi się na zawsze, wystarczyła mi chwila szczęścia, którą przeżyłem, gdy sięgałem mocnemi, zwycięskiemi, nabrzmiałemi utajoną w nich energją ramionami, po jej białe ciało pływające bezsilnie na dnie. Reszta byłaby tylko niepotrzebnym dodatkiem do tego bezinteresownego szczęścia, zmienieniem go na brzęczącą monetę takiego lub innego wynagrodzenia. Leżąc w następnych dniach w piasku — lipiec wciąż jeszcze pałał słońcem, orgie blasków i zapachów szalały na niebie — czytałem z uśmiechem artykuliki w gazetach o „bohaterskim czynie nieznanego młodzieńca", o „szalonej odwadze i rzadkiej skromności". Raz przeczytałem takie ogłoszenie:

„Pana, który mnie wyratował na plaży — szukam. Bardzo tęsknię. Zgłoszenie pod „Apollo".

— Rozciągnięty w słońcu, z melancholijnym uśmiechem, wolno podarłem ogłoszenie. Zanadto ją kochałem tę moją „dziewczynę z kajakiem", by odpowiedzieć. Rozumiesz mnie?

Student umilkł. Właśnie wtedy prymus zahuczał głośniej, zagrał posępną melodję, woda zaszumiała w rondelku, poczęła się marszczyć, burzyć i pryskać na boki. — Brzydki student oderwał wzrok od okna.

— Herbata — powiedział leniwie i ziewnął, odsłaniając żółte, zepsute zęby.

Zaczem zagasił prymus. Z sykiem strzeliły wgórę po raz ostatni wspaniałe kolorowe płomienie, a potem zwiędły i zgasły. Przez chwilę wydawało się, że jest cisza. Ale niemal jednocześnie ożyła martwa dotąd scenerja za oknami, wiatr zagwizdał donośnie i z szumem przeleciał po dachach, deszcz lał się teraz nieprzerwanie, uderzał dźwięcząc o szyby, a potem spływał ulicą, gdzie już gromadziły się zwały miękkiego błota. Student poskrobał się po owłosionej łydce, wyjął z szafy dwa garnuszki o niebieskiej, nadtłuczonej emalji i wlał do nich wrzącą wodę. Następnie wyciągnął z kieszeni od spodni aluminjowe jajko, nasypał doń herbatę i z zadowoleniem począł obracać je w wodzie.

— No, a co z tą historją? — zapytał ciekawie przyjaciel. — Czy na tem się skończyło? Nie spotkaliście się więcej?

Student podrapał się po niegolonych policzkach:

— A... z tą historją? Kiedy to wszystko co ci opowiadałem to — musisz wiedzieć — nieprawda...

Ciemno było na ulicy. Wicher i deszcz. Nawet śnieg, zdaje się, zaczął prószyć.

— Zresztą... ja wcale nie umiem pływać! — dokończył student z westchnieniem.

—o—



metamorfozy SYRENY



Herb Warszawy (wg. pieczęci w aktach radzieckich z r. 1614).

Nieraz się słyszy zarzut, że Warszawa nie jest zbudowana na... stolicę! Zarzuca się jej, że ma wąskie ulice, że trudno pomieścić się autobusom, tramwajom i taksówkom, że ulica Chmielna jest ciemna i ciasna, że ta lub inna arterja ruchu wije się nierównem pasmem. Zarzuty te z punktu widzenia stanu faktycznego są słuszne, o tyle jednak należy je osłabić, że w tej samej sytuacji jest nietylko Warszawa, ale był przed Napoleonem III i słynnym urbanistą bar. Haussmannem — Paryż, a obecnie zagadnienie rozbudowy miasta zgodnej z wymaganiami chwili aktualne jest w Rzymie, a nawet w Londynie, gdzie zniesienie słynnych „slums" zajmuje nie tylko władze miejskie, ale omawiane jest szeroko i długo w parlamencie i w powieściach, jak np. w „Sadze rodu Forsythów" Galsworthy'ego. Trudno, miasta wyrastają z swoich ulic i placów jak dziecko z sukienki! Niema też i nie będzie miasta z gumy, któreby można dostosowywać do danych okoliczności: rozbudowywanie miast, ciągłe niszczenie dzieła przeszłości i tworzenie nowych walorów jest przekleństwem każdego miasta, ale z drugiej strony jest też jego bogactwem. Cóż smutniejszego nad miasto amerykańskie, podzielone zgóry symetrycznie, na tyle a tyle ulic, biegnących równolegle, podobnych jedne do drugich i będących nie zbiorowiskiem zamieszkałych, żywych domów, a jakimś kanałem, którym płynie fala aut i ludzi. Właśnie te przemiany są niejako metryką miasta, która świadczy o jego ciągłem udoskonalaniu się. Nic więc dziwnego, że Warszawa, która od czasu upadku Polski straciła swoje stanowisko stołeczne, oddalała się od życia, gnuśniała i coraz mniej dotrzymywała kroku wymaganiom dnia bieżącego. Oczywiście, że głównym powodem było wstrzymywanie przez władze rosyjskie rozwoju i utrącanie normalnych i potrzebnych w mieście prac urbanistycznych.

Porównując Warszawę z końca XVIII wieku, tj. z czasu, z którego posiadamy najwięcej materjału ilustracyjnego i to niebylejakiego, bo pochodzącego z pod pendzla Canaletta i innych niegorszych malarzy, z Warszawą dzisiejszą, możemy zauważyć kilka zasadniczych charakterystycznych cech jej rozwoju i jej typu. Otóż najpierw zwróćmy uwagę na jej wygląd za czasów Stanisława Augusta: dzięki okoliczności, że element mieszczański nie nadawał tak dalece tonu naszej stolicy, jak to się działo w stolicach innych krajów. — złożyło się na tę okoliczność wiele momentów dziejowych, a przedewszystkiem różne ustawy sejmowe, ograniczające prawa mieszkańców miasta na rzecz obcej w mieście szlachty, — najwspanialsze budynki wznoszone były przez różnych magnatów, chcących być blisko dworu królewskiego i urządzających sobie swe domy miejskie w rodzaju i charakterze wiejskiej rezydencji, otoczonej dużemi ogrodami, przeniesionych jakgdyby żywcem z wsi do miasta. Jak wspominają autorzy, zajmujący się dziejami Warszawy, przedewszystkiem Jarzębski, Spazier oraz inni zagraniczni podróżnicy, ulice Warszawy za Stanisława Augusta odznaczały się wspaniałemi pałacami, otoczonymi dużemi ogrodami, pełnemi służby, z dużemi stajniami, czyli że całość przypominała siedziby wiejskie. Obok tych wspaniałości przykro jednak rzucały się w oczy niskie, walące się chałupy o ponurym wyglądzie. Tak więc już ówcześni podróżnicy zauważyli rozbieżność w charakterze ulic ówczesnej Warszawy: z jednej strony wspaniałości, z drugiej nędza i upadek. W tymże samym czasie inne miasta np. Wiedeń czy Berlin były już bardziej jednolite pod tym względem: ulice centrum miasta posiadały swój wyrównany charakter ozdobny, przedmieścia zaś oczywiście uboższy, ale również jednolity. To byłaby może główna cecha Warszawy stanisławowskiej. Resztkami tych wielkopańskich rezydencyj stołecznych, to np. posesja ks. Zdzisława Lubomirskiego — Frascati, na której powstaje ostat-



Zamek królewski od strony Wisły, w r. 1770 (fragment obrazu Canaletta).



Zamek królewski oraz fragment Krakowskiego Przedmieścia — zdjęcie z samolotu por. Milkowskiego.





Oto dwa fragmenty Krakowskiego Przedmieścia. Na prawo widzimy kościół św. Krzyża i część ulicy, według obrazu Canaletta — u góry dzisiejszy wygląd tejże samej części Krakowskiego Przedmieścia.

nio cała ulica z pięknemi reprezentacyjnemi domami, np. ambasadą francuską i i.

Okoliczność, o której wspomnieliśmy poprzednio, wpłynęła zapewne w wysokim stopniu na nieregularność ulic Warszawy, które nie zawsze rozrastały się zgodnie ze wskazaniami urbanistyki, mając do zwalczenia upór i upodobania jednostek.

Drugą cechą, już współczesną, tego miasta, to niewspółmierna do całości ilość zaniedbanych, podupadłych starych pałaców i domów. Przecież dopiero w ostatnich latach „wyporządzono" rynek Starego Miasta, a dopiero od kilku lat piękny zasadniczo pałac Blanka, znanego bankiera za Stanisława Augusta, położony na Placu Teatralnym opodal Ratusza, otrzymał godną siebie szatę i otrząsnął się — jak żebrak, który przywdziewa nowe ubranie — z brudu i opuszczenia, narzuconego na jego mury przez czas i wrogie okoliczności. Ale ileż takich starych domów, czy pałaców czeka jeszcze na odnowienie, na powołanie do życia jako jednostek dekoracyjnych i zabytkowych! Przejdźmy choćby przez ulicę Senatorską, Miodową, Długą, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, a łatwo wynotujemy sobie w pamięci liczne domy dzisiaj jedynie czynszowe i walczące jako tako o prawo do życia, dawniej piękne stare pałace. Niestety pałace zamieniają się w domy czynszowe i udzielają miejsca mniej lub więcej zwykłym sklepom, nigdy zaś naodwrót. I tak na Nowym Świecie przemienił się piękny pałac Kossakowskich w zwykły dom, tenże sam los spotkał pałac Dąmbskich, na Nowym Świecie dwa największe pałace, stojące obok siebie Uruskich, obecnie Czetwertyńskich, oraz Potockich (przed wojną należał on do Augusta hr Potockiego), a wkońcu piękny drugi pałac tej rodziny z pawilonami od strony ulicy, jak również pałac Raczyńskich przeszły te metamorfozy, które nigdy nie wychodzą ogólnemu obrazowi ulicy na dobre. Ale na to niema rady, to też nie należy narzekać, a najwyżej liczyć się ze stanem faktycznym i myśleć o połączeniu strony praktycznej ze stroną estetyczną.

Wżyci w codzienność, w zwykły dzień hałasujący trąbkami automobilowemi i dzwoniący sygnałami tramwajów, rozwrzeszczany hałasem ulicy i jej różnemi głosami — nie łatwo możemy zrekonstruować sobie w pamięci takie czy inne miasto, choćbyśmy je znali jak najlepiej, w postaci, jakie posiadało 100 lub 200 lat temu. Postarajmy się jednak to uczynić z Warszawą, posługując się źródłami z XVII i XVIII wieku, a przedewszystkiem jedynym w swoim rodzaju „Baedeckerem", jakim jest opis stolicy przez muzyka Jego Królewskiej Mości Jarzębskiego z r. 1643 oraz opisami podróżników, malowidłami Canaletta, Vogla, sztychem Propsta itd.

Warszawa, jak każde nieomal miasto, „narastało" ulicami i odosobnionemi posiadłościami naokoło kościoła i siedziby księcia. Obecna katedra św. Jana, oraz drewniany ongiś zamek książąt mazowieckich były temi dwoma filarami zasadniczemi, na których wsparło się dzisiejsze Stare Miasto ze swym ratuszem i domami licznych patrycjuszy miejskich, jak Baryczków, Gizów, Fukierów, Dianottów, Strubiczów itd. Nie potrzebujemy opisywać rynku Starego Miasta, gdyż jest nam dobrze znany, temwięcej, że dochował się do dnia dzisiejszego nieomal w niezmienionej postaci. Wspomnimy tylko, że z rynku wychodzi osiem uliczek, z których ulica Jezuicka była siedzibą instytucyj naukowych, drukarni Bohomolca, redakcji ks. Łuskiny. Na ul. Świętojańskiej zamieszkiwał i umarł muzyk królewski, Jarzębski, autor owego siedemnastowiecznego „Baedeckera", „Gościńca", czyli opisania Warszawy z r. 1643. Oczywiście, że Stare Miasto miało przedewszystkiem charakter kupiecki i handlowy i zamieszkane było wyłącznie przez mieszczaństwo warszawskie. Na uliczce Krzywe Koło znajdowała się konfraternia kupiecka. Na tejże ulicy od r. 1637 do końca XVII wieku znajdowała się pierwsza poczta polska pod zarządem krakowianina Karola Montelupiego, Włocha z pochodzenia. Mury obronne Warszawy ciągnęły się, jak możemy sądzić z zachowanych szczątków, wzdłuż ulic Podwala, Zawala i Przywala. Koło nich lub za niemi powstawały powoli nowe siedziby szlacheckie, położone w dużych ogrodach, mnożące się z dnia na dzień nieomal i w ten sposób dające zaczątek nowej Warszawy,

Kolumna króla Zygmunta III, to zamknięcie Krakowskiego Przedmieścia i jeden z najciekawszych pomników Warszawy. Widzimy go na obu ilustracjach: na prawo na tle ulicy, jak się przedstawiała w w. XVIII (obraz Canaletta), poniżej za naszych czasów.





wychodzącej poza mury fortyfikacyjne. Powoli zaczynają się wyciągać i zarysowywać nowe ulice, dzisiejsze Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i ich poprzeczne. Już w połowie XVII wieku ulice te, które zresztą wtedy bynajmniej nie tworzyły regularnych linij, a raczej przypominały łąkę, na której tu i ówdzie wyrastają kępki kwiatów-domów, były dosyć gęsto zabudowane. Na Krakowskiem Przedmieściu znajdował się pałac królewski z ogrodami i stajniami. Ogród od strony Wisły opisuje Jarzębski w ten sposób: „Są tam kwaterki niewielkie, w których ziółka, kwiatki wszelkie, fontanna piękna z marmuru stoi niedaleko muru, za tem statuae cudowne, nie złoteć, ale kosztowne, z metalu są odlewane, tu Herkules Nessa dusi, a on mu podlegać musi, sam koń stoi urodziwy, wąż go spodku kąsa, dziwy!" A dalej: „Wierze zacne od ogroda, także od Wisły gdzie woda: w nich altany budowane, z drugą stronę murowane, na wierzchu sala odkryta, blachą po pańsku nakryta, z której widzieć strony obie, na kilka mil patrzaj sobie".

Na Nowym Świecie spotykamy też już liczne domy i dwory. Jarzębski tak opisuje ówczesny wygląd tej ulicy: „Nowy Świat się pokazuje, dosyć wkrótce dokazuje, znacznie się pobudowali, rolnicy ich fundowali: na starościnych, na wiejskich szpitalnych gruntach, na miejskich — siedzą, pewne czynsze dają, co rok się w polu wydają — z budynkami, wedle drogi, zajęli plac bardzo srogi". Naprzeciwko tych folwarków, któ-





Kościół Karmelitów, jedna z najbardziej charakterystycznych budowli Warszawy, pozostał w tej samej postaci, co w XVIII w. do dziś dnia, ale jakże zmieniło się jego otoczenie! — Na lewo widzimy kościół z otoczeniem z czasów Stanisława Augusta, według obrazu Canaletta, na prawo zaś dzisiejszy wygląd ulicy z pałacem Prezydjum Rady Ministrów.

re musiały przypominać dzisiejsze zamiejskie posiadłości, bądź też wille w ogrodach, znajdowało się miejsce zwane naówczas „Zjawieniem", na którem stały „dwory w przestroności na górze i w ustronności"", jak pisze „Gościniec". W stronę Ujazdowa posiadłości te są dosyć liczne bo, jak pisze Jarzębski, „w pośród mieszkają Kamieńscy, od Ujazdowa Skurczyńscy, na dobre z łuku strzelenie". Sam pałac Ujazdowski, dawna rezydencja książąt mazowieckich, posiadająca charakter siedziby myśliwskiej, otoczony był również wielkim ogrodem i lasami. Nie musiał on być urządzony na stały pobyt, gdyż Jarzębski pisze o nim: „Wewnątrz jest plac trochę ciasny, dlatego też nie jest jasny, architekt, musi być, zbłądził, albo magister źle zrządził". Mimo to jednak były tam dzieła sztuki, jak jakieś lwy z marmuru, różne konterfekty itd. Natomiast bardzo ciekawym był zwierzyniec Ujazdowski, który obejmował rzadkie dzieła sztuki — a otoczenie pałacu było wspaniałe. „Łąki bujne, trawy rosną, patrz, kto jedzie drogą prostą, tam obaczysz, czego w Rzymie nie masz w Turczech, jak i w Krymie: bory, lasy i krzewiny, góry, jeziera, gęstwiny, perspektywy nie podobne, oku widzieć tak ozdobne". Jak dalece Ujazdów i jego okolica odległa była od właściwej Warszawy i jak dalece nie tworzyła z nią bynajmniej całości, wskazują na to słowa Jarzębskiego, w których, opisując kościół Ujazdowski, wyraża się: „Ku Warszawie znowu bieżę, prędko pośpieszam, przybieżę i obaczę, patrząc z prosta, aż tam mieszka pan starosta". Tym panem starostą jest starosta warszawski pan Grzybowski, posiadający swój dwór z ogrodem. Inny Grzybowski, podkomorzy czerski, jest właścicielem dworu na ul. Reformackiej. Ale również na innych ulicach, które już są zabudowane, różni panowie posiadają bądź to dwory, bądź też pałace. Tak na ul. Reformackiej znajduje się dwór Adama Kazanowskiego,, marszałka nadwornego koronnego. Na Krakowskiem Przedmieściu stoi słynny pałac Koniecpolskich, następnie siedziba namiestników królewskich, w r. 1831 siedziba Rządu narodowego, obecnie prezydjum Rady Ministrów. Naprzeciwko tego gmachu stoi pałac książąt Lubomirskich, następnie Potockich, z dużem podwórzem, „cour d'honneur" Niedaleko pałacu Koniecpolskich wznosi się jeden z najpiękniejszych kościołów stolicy PP. Wizytek,, sprowadzonych z Francji przez królową Marję Ludwikę. Kościół powstał w latach 1729—1760, do niego przytyka pałac Potockich, zbudowany w 1792 przez Ludwika Tyszkiewicza, niegdyś Poniatowskich, obok pałac ks. Czetwertyńskich.

Stwierdzenie „daty urodzenia" różnych ulic prowadzi przez mozolne nieraz poszukiwania, gdyż swobodnie rozbudowująca się Warszawa, przypominająca w XVII, a nawet XVIII wieku zbiorowisko prywatnych posiadłości w ogrodach, oczywiście poza pewną ilością ulic regularnych, w wielu wypadkach nie nadawała konkretnego charakteru ulicznego szeregowi rozrzuconych swobodnie pałacyków i dworów.

Wygląd miasta w ub. wieku możemy oczywiście odtworzyć na podstawie planu. Mając taki drogowskaz przed sobą — nosi on datę 1826 r. i stanowi załącznik do „Przewodnika Warszawskiego", wydanego u N. Glücksberga — łatwo nam stwierdzić, jak dalece Warszawa wzrosła przez ten czas. Zresztą dla orjentacji przytoczymy tu kilka cyfr, odnoszących się do zaludnienia: w r. 1564 Warszawę zamieszkiwało 14 tys. osób, w r. 1655 posiadała ona 18 tys. ludności, lecz wojny, klęski polityczne itd. zredukowały ludność w r. 1660 do 10 tys. W czasach saskich Warszawa miała w r. 1754 23 tys. mieszkańców, w roku obioru Stanisława Augusta, 1764 — 30 tys. Odtąd aż od r. 1787 szybko ludność stolicy się zwiększała: w r. 1770 — 40 tys., w r. 1780 — 48 tys. w r. 1784 — 63 tys., aż wkońcu dochodzi prawie do 100 tys. w r. 1787. Lecz zaraz po rozbiorze spada znów, w r. 1795, na 69 tys. i dopiero w r. 1818 osiąga swój stan z r. 1787. W r. 1829 Warszawa posiada 139 tys. mieszkańców. Wiele lat jednak przejdzie, zanim dojdzie do dwuchset tysięcy, bo cyfrę tę osiąga stolica dopiero w r. 1861. Półmiljonowem miastem staje się Warszawa w r. 1893, a wojna zastaje w stolicy 789 tys. mieszkańców.

Nie będziemy tu mówić o zmianach etnicznych, religijnych i stanowych, jakie zachodziły w dziejach stolicy: są to sprawy zbyt wielostronne i wymagające szczegółowego omówienia. Stwierdzimy tylko, że Warszawa, która w wieku XVII posiadała dużo elementów obcych, wchłania je, czyni z nich Polaków, a nieraz najlepszych patrjotów. Duży procent przybyszów obcych wykazuje fakt, że w r. 1655 na Rynku staromiejskim z 39 domów należało 17 do osób o obcych nazwiskach. Unarodowienie mieszczan dokonało się głównie wskutek ustawy sejmowej z r. 1791 o mieszczanach, która dopuszczała ich do godności cywilnych, duchownych i wojskowych, pozwoliła im nabywać dobra ziemskie, powołała przedstawicieli ich do sejmu i rządu i wcieliła do miasta jurydyki szlacheckie.

Powróćmy jednak od planu Warszawy z r. 1826 i rozpocznijmy wędrówkę tak, jakeśmy to uczynili poprzednio, powołując się na opisy imć pana Jarzębskiego, tj. od strony zamku królewskiego. Wyszedłszy z placu zamkowego i idąc Krakowskiem Przedmieściem, które mniej więcej zajmowało dzisiejsze położenie, posiadając wygląd mogący nam przypomnieć dzisiejszy jego stan, posuwamy się Krakowskiem Przedmieściem i N. Światem dalej. Lecz tu czeka już na nas pierwsza wielka niespodzianka: na skrzyżowaniu z Alejami Jerozolimskiemi widzimy, że nie są one wogóle jeszcze ulicą! Ogrody, wolne place, zaledwie tu i ówdzie jakiś budynek.

Dalszy ciąg Nowego Światu, rozwidlający się w Aleje Ujazdowskie i Wiejską, również nie przypomina zupełnie obecnego swego wyglądu: ulica Wiejska obejmuje wolne place, ogrody (którego resztkiem było Frascati) i niewiele budynków, Aleje zaś Ujazdowskie są pustą drogą ciągnącą się aż po rezydencję w. ks. Konstantego, Belweder. Ulica Piękna również jest zupełnie niezabudowana, ul. Książęca jest w „powijakach", a Marszałkowska sięga właściwie tylko do Alei Jerozolimskich! Natomiast Warecka, Sto-Krzyska są mniej więcej zabudowane i przypominają swój stan dzisiejszy. Trudno porównać kolejno wszystkie w wyglądzie z przed lat 100 ulice ze stanem dzisiejszym, można jednak wysnuć choćby po ogólnem przejrzeniu planu wniosek, że Warszawa z przed stu lat rozciągała się jako miasto zabudowane w kierunku Belwederu aż do Al. Jerozolimskich, z przeciwnej zaś strony, tj. za zamkiem aż po Rymarską, kierując się natomiast od Marszałkowskiej ul. Złotą w górę aż po Żelazną, która mało rozbudowana lecz długa, stanowiła mniej więcej kres również dla ulic dalej za Ogrodem Saskim położonych i ciągnących się w kierunku mniej więcej równoległym do Złotej.

Fortyfikacje nadawały jeszcze wtedy miastu wyraz obronny, tamowały jednak, rzecz prosta, dalszy rozrost. Powoli dopiero ciasne ramy ustępują miejsca rozwijającemu się coraz bujniej życiu, powoli dopiero Warszawa staje się coraz bardziej, nietylko z tradycji historycznych i swej roli, ale też obszarem i ludnością wielką stolicą europejską i wkońcu stolisą wskrzeszonej Polski.

I jakkolwiek dostosowanie warunków urbanistycznych stolicy do dzisiejszych wymagań jest nakazem chwili, to nieraz — na widok znikającej ulicy, burzonego starego domu czy ogrodu, na miejscu którego ma stanąć drapacz chmur, odczuwamy żal, że dzień dzisiejszy siłą faktu niszczy to, co stworzył dzień wczorajszy! Ale właśnie te przemiany miasta, które w Warszawie bardziej niż w innych może stolicach, są na czasie, harmonizują z symboliczną Syreną, która, jako kobieta, chętnie zmienia swe szaty!

Jan Maleszewski





Powyżej od lewej: Porównanie Krakowskiego Przedmieścia z XVIII w. (po lewej obraz Canaletta), z stanem obecnym uwidacznia nam zasadnicze zmiany w wyglądzie ulicy, która za czasów Stanisława Augusta posiadała obok pięknego kościoła Wizytek małe, do chałup podobne, domki. Po prawej stronie kościoła pałac Potockich, należący w XVIII w. do rodziców króla Stanisława Augusta.

Pisanki

Malowanie i zdobienie pisanek — należy do najpiękniejszych i najpopularniejszych zwyczajów słowiańskich. Dziś wykonywane są niemal wyłącznie w okresie świąt wielkanocnych, jako związane z uroczystością „święconego" wielkanocnego i z tradycją dzielenia się jajkiem przy składaniu życzeń. W bogatej historji wierzeń i obrzędów ludowych słowiańskich, spotykamy się jednak z wieloma innemi zwyczajami, w których jajko, a nierzadko jajko malowane — pisanka, odgrywało poważną rolę.

U wielu ludów od najdawniejszych czasów rozpowszechnione było wierzenie, iż jajko jest utajonem źródłem sił twórczych i niszczycielskich. Uważano je za symbol życia i śmierci, przypisywano mu moc uzdrawiającą i moc odwracania zła. Stąd spotykamy je wśród obyczajów związanych z najważniejszemi wydarzeniami życia.

Jajkiem zdobiono t. zw. różdżkę weselną, wręczaną nowożeńcom w czasie obrzędów ślubnych. W ten sposób według wierzeń ludowych zapewniano małżeństwu liczne potomstwo.

Zawieszenie jajka, względnie pisanki w chacie u sufitu, miało zażegnać zło i przeciwdziałać wszelkim urokom. Zakopane w sadzie, przynosić miało bogate owocobranie, zaś zaorane na wiosnę w rolę, zapewniało obfity plon. Zakopywano też jajko w ziemię w miejscu, gdzie zamierzano budować nowy dom.

Znany też jest wśród dawnych ludów słowiańskich zwyczaj wkładania jajka do trumny zmarłego. Czyniono to w tym celu, by od zmarłego odpędzić złe duchy i zapewnić mu spokój po śmierci. Złe moce odwracało ono również od chorych, których „leczono" jajkiem w ten sposób, że toczono niem po ciele chorego.

Szerokie zastosowanie, jakie jajko znalazło wśród obrzędów ludowych, sięgających niewątpliwie czasów pogańskich sprawiło, iż znalazło się ono i wśród chrześcijańskich zwyczajów wielkanocnych. Tutaj — jest ono powszechnie wyobrażeniem budzącego się na wiosnę nowego życia, symbolem odrodzenia.

Pisanki znane są wszystkim ludom słowiańskim. Znają je zarówno Polacy, jak i Rusini, Białorusini, Ukraińcy, Czesi, Słowacy. Charakterystycznem jest, iż mimo rozpowszechnienia tego zwyczaju na olbrzymim obszarze etnograficznym słowiańskim, desenie malowane na pisankach, sposób ich przygotowywania, rodzaj używanych do tego celu farb, nie wykazują wielkich zasadniczych różnic pomiędzy poszczególnemi okolicami. Oczywiście charakterystyczna dla danych okolic barwa, czy rysunek znajdzie swój oddźwięk i w pisance, nie wykazując jednakże takich odrębności, jakie wykazuje np. forma i barwa stroju ludowego i inne przedmioty, zdobnictwa ludowego. Wynika to stąd, iż n. p. strój ludowy, sposób budowania i strojenia chaty, jest dla danej okolicy ustalony z dawien dawna tradycją.

Przy zdobieniu pisanki swoboda jej twórcy nie bywała natomiast niczem związana. Ograniczał ją jednak dobór farb znanych w danej okolicy (mowa oczywiście o czasach, gdy barwniki przygotowywano samemu i kiedy nie było ich w handlu), oraz niezbyt liczne możliwości w wynalezieniu motywu. Mógł on iść siłą rzeczy tylko w trzech kierunkach: tworzeniu deseniu geometrycznego, roślinnego i zwierzęcego. Występują tu więc jedynie kratki, trójkąty, linje faliste, gwiazdy, wyobrażenia zwierząt i — najpopularniejszy motyw zdobnictwa ludowego — liście, gałązki i kwiaty.

Gałązkę, jako motyw powtarzany na pisankach, spotykamy najczęściej nawet tam, gdzie ulubionym tematem będzie wzór geometryczny. Stosunkowo najmniej znajdziemy jej w pisankach wschodnio-małopolskich, ruskich, gdzie lubują się w niezwykle skomplikowanej malaturze pisanek, posługując się kombinacją motywu geometrycznego ze zwierzęcym. Pozatem, zwłaszcza w pisankach huculskich z okolic Żabiego, widzi się tu również podwójne krzyże greckie.

Większe odchylenia od trzech wspomnianych głównych motywów są naogół rzadkie. Pisanki, pochodzące np. z okolic Kolna często zawierają rysunki domku, kościoła, kapliczki. Niekiedy znajdą się też tutaj rysunki mebli, np. stołu wielkanocnego ze święconem. Pisanki łowickie odznaczają się nieraz typowemi pasami łowickiemi, i to nie malowanemi na jajku, lecz naklejanemi w formie wąskich paseczków papieru.

Chcąc doszukiwać się wybitnych różnic, zachodzących pomiędzy pisankami, pochodzącemi z różnych okolic, raczej należałoby się oprzeć na doborze barw powszechnie używanych w danej okolicy. Np. barwa czarna dominuje w Polsce w okolicach Wołkowyska, Jaworowa i Rawy Ruskiej. Gdzieindziej znano wyłącznie kolor bronzowy lub najpopularniejszy buraczkowo-fjołkowy. Ale i te różnice zacierają się dziś wobec rozpowszechnienia się barwnika, wyrabianego fabrycznie i sprzedawanego w całej Polsce.

Do niedawna przygotowywaniem farb zajmowano się osobiście „przemysłem domowym"; trudniły się tem — a i dzisiaj przygotowują pisanki — przeważnie dziewczęta. W tygielku na węglach roztapiają one wosk, maczają w nim szpilkę lub cienką rurkę blaszaną, oprawioną w drewienko, poczem roztopionym woskiem rysują desenie na czystem jajku. Często zamiast szpilki posługują się w tym celu blaszką od sznurowadła. Następnie zanurza się jajko w ochłodzonym barwniku. Po wyjęciu i osuszeniu jajka zeskrobuje się wosk; na zabarwionem jajku widnieją białe desenie.

Jeśli się chce otrzymać deseń wielobarwny, powtarza się całą tę czynność kilkakrotnie, zakrywając całkowicie woskiem te miejsca, które mają być barwione następnym kolorem. Barwniki lud przygotowywał z roślin, np. żółty z łupin cebuli, fjoletowy z listków malwy, pomarańczowy z krokusa.

Bywają też i jajka jednobarwne, bez deseni i zwą się wówczas kraszanką, lub malowanką. Jednym z prymitywniejszych sposobów sporządzania malowanki jest całkowite jej zabarwienie bez pociągania uprzedniego woskiem i wyskrobanie następnie na niem deseniu.

Piękny zwyczaj malowania pisanek wielkanocnych od czasu rozpowszechnienia się w handlu farb i uczenia przygotowywania pisanek w szkołach ludowych, traci na swej szczerości w prostocie i tradycji. Wzory i kolory charakterystyczne dla danych okolic zacierają się, przenikając wzajemnie z jednych okolic w drugą.

Współczesna pisanka jest może piękniejszą, barwniejszą i staranniej wypracowaną, nie posiada jednak dawnej oryginalności.

R. B.



Najozdobniejsze pisanki z różnych stron Polski: 1. Łomżyńskie, 2. Kolno — wieś Popiółki, 3. Opoczyńskie, 4. Łowickie, 5. Kowieńszczyzna, 6. Trockie, 7. Podole, 8. Hrubieszów — Lubelskie, 9. Białoruś, 10. Jaworów, 11. Jaremcze, 12. Kossów.

Dokończenie ze str. 6-tej.

z reżyserów nazwał, jest z natury „antyteatralna", i (utwierdzana w tem często przez krytykę) cierpi na kompleks nieufności do polskiej sztuki. Musiał więc Szyfman przedewszystkiem wychować sobie widzów, przyzwyczaić ich do dobrego teatru.

W tych warunkach nie mógł oczywiście *„Teatr Polski"* pójść po linji skrajnie awangardowej, nowe kierunki budzące się na Zachodzie czy Wschodzie przychodziły do nas w złagodzonej, kompromisowej formie. Styl „Teatru Polskiego" spokrewniony z czystym realizmem „Teatru Stanisławskiego" i Antoine'a i z patetycznem bogactwem widowisk Reinhardta, wyzwala się z biegiem lat, znajdując własne oblicze i osiąga mocny, indywidualny wyraz przedewszystkiem w realizacji *polskiego repertuaru monumentalnego*. „W ciągu tych 25-ciu lat — pisze Wiktor Brumer" teatr w Polsce przeszedł poważną ewolucję, nowe osiągnięcia zawdzięczamy Reducie, Teatrowi imienia Bogusławskiego, ale punktem wyjścia dla tych osiągnięć były rezultaty artystyczne pracy Teatru Polskiego, który zresztą w dalszej swej drodze rozwojowej wchłaniał w siebie zdobycze osiągnięte przez tamte teatry".

W ogólnej statystyce repertuarowej przypadana 347 wystawionych utworów, opracowanych przez 33 reżyserów, 143 utworów polskich. Największą ilość przedstawień osiągnęły z polskiego repertuaru dramaty Słowackiego, Rostworowskiego i Wyspiańskiego.

Osobny rozdział poświęca Lorentowicz w „Teatrze Polskim" reżyserji i scenografji, dając zwięzłe charakterystyki najwybitniejszych twórców, działających na tej scenie. Nie sposób w ciasnych ramach artykułu wymienić nawet najznaczniejsze osiągnięcia reżyserów Karola Borowskiego, Leona Schillera, Aleksandra Węgierki, Aleksandra Zelwerowicza i tylu innych, nie podobna wyliczyć całej plejady najznakomitszych aktorów, którzy przesunęli się przez tę scenę.

Pracę nad kształtem scenicznym, dekoratorów Karola Frycza, Wincentego Drabika, Stanisława Śliwińskiego, Zbigniewa Pronaszki i Daszewskiego warto omówić w osobnym artykule.

Jan Marcin Szancer.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

LEKKA PRZYSTAWKA NA MUSZELKACH. 5 żółtek i dwie łyżki dobrej mąki rozkłóca się w $^1/_4$ litra gęstej kwaśnej śmietany, poczem dodaje się dwie łyżki parmezanu lub 4 łyżki siekanej szynki. Masę tę miesza się ostrożnie z tęgą pianą z 5 białek, nakłada po łyżce na masłem natarte muszelki i zapieka przez 15 minut w piecyku. W braku muszelek można masę tę wypiec w ogniotrwałej szklanej lub porcelanowej ryneczce i podać na stół wraz z naczyniem otoczonem serwetą.

KOTLETY CIELĘCE „A LA PRINCESSE“. Kotlety wykrojone z dyszka, trochę grubsze niż zazwyczaj, nie powinny być ubijane. Szpikuje się je paseczkami słoninki, wędzonego ozora i trufli lub pieczarek naprzemian, następnie osmaża szybko na ostrym ogniu, poczem się je wyjmuje na talerz i odstawia w ciepłe miejsce. Do pozostałego na patelni masła, dolewa się szklaneczkę madery, dodaje łyżkę gęstego bulionu lub ekstraktu mięsnego, zagotowuje, wkłada napowrót kotlety i nie gotując więcej, zostawia je pół godziny na kraju blachy. Ułożone na półmisku polewa się je sosem i garniruje jarzynkami, np. zielonym groszkiem, karczochami i duszonemi w maśle wykrawanemi kulkami z ziemniaków.

NADZIANKA DO PASZTECIKÓW. Resztki mięsa-pieczeni, drobiu i szynki, przemiela się wraz z kilku uduszonemi pieczarkami dodaje 2 żółtka utarte z łyżką masła, soli i pieprzu, oraz mały kieliszek madery, łyżkę gęstej kwaśnej śmietany lub sosu z pod pieczeni. Wymieszaną masę nakłada się w płatki ciasta francuskiego lub serowego (w równych ilościach: ser, masło i mąka) i piecze szybko w średnio gorącym piecyku.

TORT „FEDORA“ może być sporządzony „w ostatniej chwili“, gdyż nie wymaga pieca, robi się go na surowo w ten sposób: 25 dkg masła uciera się na pianę z dodatkiem 25 dkg rozmiękczonej lub startej czekolady i 25 dkg mączki cukrowej. Dobrze utarty krem nakłada się w formę tortową, wyłożoną opłatkiem i odstawia w chłodne miejsce. Zanim krew dobrze zakrzepnie sporządza się wierzchnią warstwę tortu z 35 dkg parzonych, mielonych migdałów i 25 dkg mączki cukrowej, które się łączy paru łyżkami słodkiej śmietanki. Gładko utartą, białą masę nakłada się na zastudzoną masę czekoladową, wygładza i posypuje tartą czekoladą lub robi polewę z rozgotowanej czekolady.

INNY TORT „NA SUROWO“ sporządzić można z andrutów, przekładając je następującą masą: 20 dkg utartego na krem masła deserowego, 12 dkg czekolady, 12 dkg mączki cukrowej, 10 dkg mielonych orzechów, 2 żółtka: masa sporządzona z powyższych dodatków wystarcza na 5 andrutów wielkości talerza. Wierzch tortu polać można polewą czekoladową z 10 dkg czekolady roztartej z gęstym syropem ugotowanym z 8 dkg cukru i 4 łyżek wody, oraz łyżeczką masła deserowego.

ZUŻYTKOWANIE BIAŁEK. Pozostałe białka od wybitych jaj do ciast świątecznych, do którego to celu, jak wiadomo, używa się z dobrym skutkiem tylko żółtek, zużyć można w różny sposób np. na:

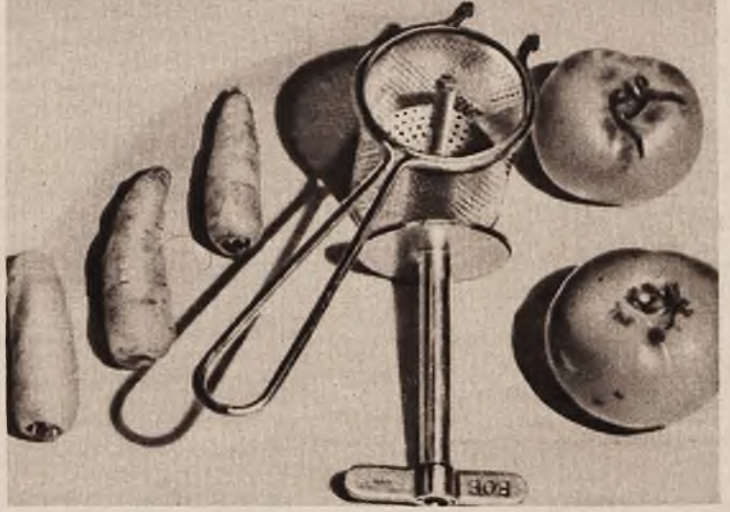
TORT DAKTYLOWY. Z 9 białek wybija się na parze tęgą pianę, dodając potrosze 25 dkg cukru. Odstawioną z gorącej pary pianę, miesza się ostrożnie z 30 dkg parzonych, ołupanych i zmielonych migdałów, 8 dkg drobno pokrajanej skórki pomarańczowej i 30 dkg w paski skrajanych daktyli. Tort piecze się w bardzo słabem cieple, raczej suszy się go. niż piecze. Powinien silnie naróść i wcale się nie zrumienić. Tort ten podany na legominie nakłada się bitą śmietanką nie słodzoną.

PIANKI (BEZY). Na jedno białko liczy się 4 dkg cukru. Białka z cukrem ubija się na parze, tj. wstawione do większego naczynia z gorącą wodą na piecu. Do ubitej piany można dodać w dowolnej ilości krajanych orzechów lub migdałów, albo też z samej pianki cukrowej tworzyć łyżeczką kulki na natartej woskiem blasze i suszyć je następnie w zupełnie letnim piecu.

BISZKOPT Z BIAŁEK. 7 białek ubija się na pianę z 25 dkg mączki cukrowej, sokiem i skórką otartą z połówki cytryny. 17 dkg gładkiej mąki miesza się z pokrajanemi drobno bakaljami w dowolnej ilości i rodzaju, następnie dopiero wsypuje do piany. Piec w miernie gorącym piecyku. Mieszanie bakalji z mąką chroni przed opadaniem bakalji na spód pieczywa. (Podaję tę uwagę jako odpowiedź na kilka zapytań w tym kierunku).

MASŁO WĄTRÓBKOWE. 15 dkg wątróbki z drobiu dusi się na maśle z cebulką tylko tak długo, aż z ukłutej widelcem wątróbki krew nie wychodzi, wtedy odstawia się wątróbkę z ognia, aby nie stwardła. Wystudzone wątróbki miele się i przeciera przez sito. 5 dkg masła deserowego (lub o ile jest lubiany smalec z drobiu, można nim masło zastąpić) uciera się naprzód same, potem z zmieloną wątróbką na jednolitą masę, którą się soli i pieprzy, i formuje z niej dwiema łyżeczkami kulki, które się układa stożkowato na talerzu, lub też nakłada wprost na płatki bułki i przybiera rzodkiewką i szczypiórkiem. **Sc. Ko.**

NOWOŚCI
GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Jak wiadomo, współczesna medycyna kładzie wielki nacisk na wprowadzanie do organizmu odpowiedniej ilości witamin, to też surowe owoce i jarzyny coraz to w większej ilości zjawiają się w gospodarstwie domowem. W związku z tem powstają liczne naczynia i maszynki i prasy służące do wyciskania soków z surowych jarzyn i owoców. Obok reprodukujemy za jednem z pism szwajcarskich taki nowoczesny przyrząd do wyciskania soku.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 17	**Kwiecień** — 30 dni
NIEDZIELA **17** Wielkanoc	Consommé impérial. Paszteciki francuskie z masą mięsną z drobiu. Indyk nadziewany kasztanami z sałatą zieloną i krokietkami lub fritkami z ziemniaczków. Kompot, torty, ciasta, owoce. Kolacja: Wędliny, kanapki, sałatka, sery.
PONIEDZ. **18** Pon. Wielk.	Zupa z drobiu lub barszcz na rosole z twardemi jajami. Ciepła szynka z zielonym groszkiem i purée ziemniaczanem. Kompot mieszany. Mazurki, owoce, ciasta. Kolacja: Zimny drób z sosem tatarskim. Kanapki, ciasta, torty.
WTOREK **19** Emmy wd.	Zupa jarzynowa purée z grzankami. Budyń z szynki. Kotlety cielęce à la princesse. Marchewka z groszkiem. Róże wielkanocne. Kolacja: Masło wątróbkowe i ziołowe na bułce.
ŚRODA **20** Agnieszki p.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem chrzanowo jajecznym. Kotlety wieprzowe duszone z kapustą kiszoną. Szarlotka z jabłek na czerstwej strucli. Kolacja: Jaja na szynce.
CZWARTEK **21** Anzelma b.	Grochówka na kiełbasie. Budyń szpinakowy. Kura w potrawce z ryżem. Grzanki z bułki w sosie z czerwonego wina. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
PIĄTEK **22** Sotera i Kaja	Zupa perłowa na śmietanie. Kotlety jarzynowe w grzybowym sosie. Filety z łososia morskiego pieczone w maśle sardelowem z makaronem. Bezy z bitą śmietaną. Kolacja: Jaja faszerowane.
SOBOTA **23** Wojciecha b.	Zupa pomidorowa z ryżem. Salsefia i kardy z masłem rumianem. Pieczeń nerkowa z marchewką i kluseczkami francuskiemi. Kompot z jabłek i śliwek suszonych. Kolacja: Płatki z szynką wypiekane.

„DERNIER CRI" MODY W JAPONJI



Dwa najnowsze modele kobiecych strojów japońskich oraz wzory modnych w bieżącym roku materjałów.



Na prawo: Niezwykłą pięknością odznaczają się te dwie kreacje japońskiej mody: ozdoby bambusowe na prawym modelu symbolizują młodość.

Prawie wszyscy wyobrażamy sobie Japonkę przeważnie w barwnem kimonie, z wysoko upiętą fryzurą i z miłym uśmiechem na twarzy. To wyobrażenie podtrzymują w nas ilustracje, zamieszczane od czasu do czasu w dziennikach lub w książkach z opisami podróży po Japonji. I trudno nam już zmienić w wyobraźni ten wygląd lalkowaty Japonki, choć przecież coraz częściej widzimy ostatnio zdjęcia Japonek w strojach europejskich i z gładko uczesanemi fryzurami.

Wogóle zaś nie zdajemy sobie sprawy, w jaki sposób odróżnić po fryzurze mężatkę od panny, piękność tokijską od strojnisi z Osaka i nie wiemy, że można godność osoby uwidocznić w kimonie, oraz, że zawiązanie z tyłu charakterystycznego pasa japońskiego t. zw. obi jest też unormowane pewnemi względami. Zresztą są to tajemnice dla wielu nawet podróżników, którzy zwiedzili Japonję i spędzili niejedną godzinę w towarzystwie miłych gejsz.

Nie ulega wątpliwości, że Japonki mają dwa razy więcej kłopotów ze strojami, niż Europejki. W Japonji bowiem mimo wielkich zmian w dziedzinie europeizacji kraju, kimono (ki — wdziewać, mono — rzecz) — a więc strój japoński nie został wyparty przez „joo-fuku" lub „joo-so" tzn. modę cudzoziemską. Po wojnie światowej w pierwszych latach, zdawało się, że „joofuku" odniesie zwycięstwo nad kimonem. Nie spowodowała jednak tej chwilowej przewagi, jakby ktoś sądził, emancypacja, lecz kryzys gospodarczy, który, jak wiadomo, nie oszczędził i Japonji. Szczególnie chętnie przywdziewały kostjumy europejskie studentki, robotnice i urzędniczki, które nie miały czasu na zabawę przed lustrem ani pieniędzy na stroje. Ale po pracy czemprędzej przywdziewały wygodne kimono. Obecnie jednak moda europejska już znudziła się wielu Japonkom, nastąpiła przytem poprawa gospodarcza, a głosy nacjonalistów, nawołujących do nawrotu do tradycji potężnieją. Prasa kobieca radośnie podkreśla te zmiany i już rozpuszcza wiadomości o zwycięstwie kimona.

Moda europejska odniosła natomiast bezapelacyjne zwycięstwo we fryzurze. Coraz rzadziej spotyka się ostatnio Japonki z wielkiemi, ciężkiemi fryzurami, które wyglądają efektownie, lecz przysparzają wiele kłopotu właścicielkom. Ponieważ uczesanie to kosztuje sporo czasu i trudu, przeto Japonki w czasie poobiedniej drzemki, a niektóre nawet w nocy, zmuszone są trzymać głowę na podstawce, podpierającej kark.

Z tym starym sposobem czesania t. zw. „maru-mage" (okrągły splot, który wymaga dużego podkładu na przodzie, by fryzura była wysoko upiętą) — najprędzej rozstały się młode Japonki. Do niedawna jeszcze stosowały one fryzurę t. zw. „hisari-gami", zaczesując włosy wprost do tyłu i upinając je następnie w warkocz. Ostatnio modnym był przedział na środku lub z boku, a teraz utrzymuje się przedział tylko przez środek głowy. Trzeba przy tej sposobności zaznaczyć, że moda zwijania włosów na karku w rulon — od niedawna wprowadzona u nas — w Japonji była już znana w 1931 roku.

O zwycięstwie kimona nad strojem europejskim można też wnioskować jeszcze i z innych, oprócz przytoczonych powyżej, objawów. Oto moda japońska zmienia się o wiele częściej, jest więcej, możnaby powiedzieć, ruchliwa niż europejska. Nic dziwnego. Zanim nadejdą dla bogatych pań wzory z Paryża lub Londynu, już są niemodne i nieodpowiednie do pory roku. Kto chce popisać się najnowszą kreacją, wygląda nieco śmiesznie, pomijając już to, że naogół Japonki dużo zatracają ze swego wdzięku i kobiecości w stroju europejskim.

Trudno byłoby w ramach artykułu opisać zmiany, dokonywujące się na rozkaz „pani mody" w całym stroju narodowym Japonki, a więc — oprócz kimona — w wachlarzach, szalach, narzutkach, pasach, parasolkach, torebkach i skarpetkach. Zajmiemy się więc tylko wierzchniem kimonem, jako strojem spacerowym lub przywdziewanym z okazji wizyt czy przyjęć. Ta zresztą część stroju Japonki zmienia się najczęściej i jest najdroższa. Przez pewien czas były modne groszki, później szerokie, podłużne pasy, to znowu delikatne kratki lub jaskrawe kwiaty.

O tegorocznej modzie donosi w marcowym numerze japoński miesięcznik „Siufuno-tomo" (Przyjaciel pani domu), podając przytem interesujące ilustracje. Na jednej z nich zamieszczono zdjęcie dwóch Japonek-modeli w strojach najmodniejszych, przeznaczonych dla panny i dla mężatki. — W tytule nad objaśnieniami zaznaczono, że to „stroje spacerowe wiosenne w dobie kryzysu". Jakże mają one wyglądać? Oto dla kimona panny przewiduje moda wiosenna tło poważne, nawet czarny materjał z krepy, na którym ma odcinać się żółta barwa n. p. bambusu, oddanego zresztą łudząco na ilustracji. Bambus, to — dodajmy nawiasem — symbol w Japonji młodości i siły. Obi t. zn. pas powinien mieć na tle czerwonej śliwy złote kraty lub podobną ornamentację. Te barwy są cechami wytworności i czynią łagodne wrażenie. Dla młodej mężatki moda zaleca kimono z lekkim deseniem, na którym delikatnie tylko zaznaczone są herby rodowe, z upiększeniem żywszem w formie dużych, okrągłych zestawień liści bambusowych. Pas ma harmonizować z całością kimona, przyczem przeważać powinno tło żółte, ożywione n. p. chińską ornamentacją.

Jeszcze dokładniej o tegorocznej wiosennej modzie w Japonji podaje informacje druga ilustracja. Zamieszczono tam stroje dwóch Japonek oraz kilkanaście próbek z

Dokończenie na str. 38.

ZAGRAJMY
W GOLFA!

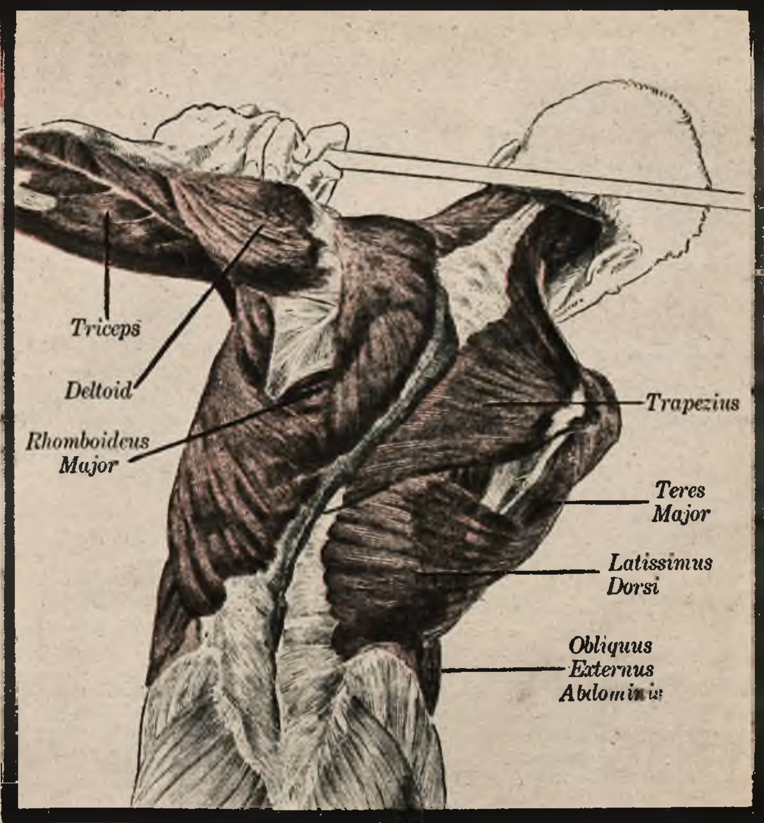
Przeciętny śmiertelnik, słysząc słowo „golf", kojarzy je zaraz z Anglją lub Ameryką, widzi zblazowanych lordów, miljonerów, czy też innych snobów, za którymi służba nosi w pokrowcu specjalne bijaki. Niektórzy znowu pod słowem „golf" rozumieją pewien kształt bucika sportowego.

W tem wszystkiem jest nieco prawdy, a jest także nieco plotki, uprzedzeń, czy też poprostu nieznajomości rzeczy.

Jak więc jest naprawdę?

Golf — to narodowa gra szkocka, której historja sięga głęboko w dzieje tego kraju. Kiedy powstał golf — nie wiadomo. Jak jednak bardzo zazębił się z dziejami kraju, najlepiej o tem świadczy fakt, że w roku 1457 parlament szkocki zmuszony był wydać prawa, dotyczące golfu, a kroniki piszą, że królowie szkoccy w XVI wieku byli zagorzałymi golfistami.





Od lewej: Na powyższem zdjęciu i obok zamieszczonym rysunku widzimy golfistę, wykonującego ten sam ruch, który zasady gry w golfa oznaczają jako uderzenie końcowe. Najintensywniejszą pracę wykonują tu mięśnie bioder i górnej części tułowia, oznaczone na rysunku nazwami łacińskiemi. Niezbędną dla dobrej gry jest jak największa elastyczność tych właśnie mięśni. Sztywność np. palca, stawu nadgarstkowego i przedramienia zepsuje bezpowrotnie uderzenie.

Może najważniejszą datą w dziejach golfu jest rok 1608, w którym został założony „Royal Blackheath Golf Club", istniejący do dnia dzisiejszego. Klub ten odgrywa bardzo ważną rolę tak w życiu sportowem, jak i towarzyskiem Anglji, mając na swym czele ludzi wysoko ustosunkowanych (często funkcje prezesów, czy też kapitanów sportowych pełnili książęta Walji).

Golf przeszczepiono z Szkocji i Anglji do Ameryki, gdzie stał się bardzo popularnym. Owacje, z jakiemi witano w Ameryce Roberta Tyre Jonesa, zdobywcę mistrzostwa golfa w Anglji w roku 1930, nie ustępowały przyjęciu Lindbergha. I dzisiaj niesposób poprostu wyobrazić sobie większego miasta tak w Ameryce, jak i Anglji, na którego peryferjach nie byłoby urządzeń do gry w golfa. Na pytanie, czy golf zaliczyć do sportów masowych, czy do tych, które uprawiają ludzie uprzywilejowani, należałoby raczej odpowiedzieć, że jest to sport dla wybranych, to znaczy ludzi bogatych.

Wypada jednak zaznaczyć, że są usiłowania, aby golf bardziej spopularyzować i udostępnić. Przykładem tego niech będzie wielki fabrykant czekolady w stanie Pensylwania Mr. Milton S. Hershey, który w roku 1930 rozpoczął budowę dwóch terenów golfowych dla robotników swych fabryk, oraz dla okolicznych mieszkańców. Pomyślane one były jako parki sportowe z pływalniami, kąpieliskami, plażami dla podniesienia stanu zdrowotnego robotników i ich rodzin.

Są również czynione próby, aby budować boiska mniejsze z minjaturowemi przeszkodami. Próbuje się też zakładać boiska w halach sportowych. Rozgrywane są mistrzostwa amatorów i zawodowców, spotkania międzyszkolne i międzypaństwowe, rozgrywki senjorów, czy też kobiet.

Przygotowanie terenu do gry w golfa jest bardzo kosztowne i dochodzi nieraz do kwoty pół miljona dolarów. Niektórzy mylnie sądzą, że teren ten musi być idealnie równy. Wręcz przeciwnie. Przeszkody są konieczne, jak np. drzewa, pagórki, strumienie, a zdarza się i odnoga morska. Kiedy przeszkód naturalnych nie ma, muszą być zbudowane sztuczne. Również kosztownym jest sprzęt sportowy w formie rozmaitego rodzaju bijaków (clubs).

A teraz zastanówmy się w krótkim zarysie, na czem polega gra w golfa. Grający starają się wpędzić piłkę kauczukową o wadze 120 gr z podwyższonego miejsca odbicia zapomocą jak najmniejszej liczby uderzeń rozmaitymi bijakami do dziury, położonej na kolistym i równym odcinku murawy (green). To powtarza się przy 9 lub 18 dziurach, które są od siebie oddalone o 100 do 400 metrów.

Jakie są istotne wartości gry w golfa? A więc w pierwszym rzędzie nienużąca. a urozmaicona gimnastyka na świeżem powietrzu. Ruchy, stosowane przy golfie, wymagają znacznej sprawności fizycznej. A gdy do tego dodamy konieczność przejścia od 10 do 12 mil ang. w formie spaceru i wykonanie od 180 do 365 precyzyjnych uderzeń, to zrozumiemy, że gra tego typu daje wielkie zadowolenie ludziom, którzy zmuszeni są pracować umysłowo, a tylko niewiele czasu mogą poświęcić na wypoczynek.

Władysław Sikorski.



...przeciętny śmiertelnik, słysząc słowo „golf" widzi zblazowanych lordów, za którymi służba nosi w pokrowcu specjalne bijaki...

HOCKI KLOCKI



NIEDOLA ROZBITKÓW.
— Nieraz, panie kapitanie, zdawało się nam, że dostaniemy pomieszania zmysłów! Codzień to samo i to samo i tak już od sześciu lat!



DZIWNY PACJENT.
Pielęgniarka: — Więc tak, panie doktorze, pacjent 42 nie ma ani temperatury, ani pulsu, ani też bicia serca. Oto wszystko!

HOCKI KLOCKI



POD NIEOBECNOŚĆ PAŃSTWA DOMU...
Służący: — Piwnica pełna szampana, państwo wyjechali, a ty chcesz się bawić w grę towarzyską (Bingo)!



SPRAWA ROZWODOWA.
— Jeżeli już pan o tem mówi, to mam mgliste wspomnienie, jakobym z nim odbyła podróż naokoło świata.

Dokończenie ze str. 7-ej.

gotowani i że właśnie pewne braki czy to w znaczkach, czy też w układzie zbioru będą właśnie wyolbrzymione na ich niekorzyść przez jury. Jest to zupełnie niesłuszny punkt widzenia, komitet sam uzna czy dany eksponat nadaje się, czy też może być wystawiony tylko w formie albumów, do których nie ma nikt dostępu poza zespołem sędziów. — Zawsze jednak znajdzie się jakiś fragment godny uwagi, i już moralną nagrodą dla wystawcy będzie to, jeśli zdobędzie on zainteresowanie publiczności.

Oczywiście są i tacy filateliści, którzy uważają, że mają znaczki tylko dla siebie i nie powinny być dostępne dla oka profanów. To jest z psychologicznego punktu widzenia zrozumiałe, ale w gruncie rzeczy bardzo zabawne, bo przecież nikt owych „rarytasów" nie ugryzie, a chyba nie musimy tu dodawać, ile korzyści przynosi innym zbieraczom oglądanie cudzych zbiorów.

Klasy, na jakie mają być podzielone nadsyłane eksponaty są następujące. — Poza Konkursem: Klasa Honorowa (tutaj oczywiście uczestniczyć będą osoby prawne, z któremi nie mogą mierzyć się zwykli „śmiertelnicy", np. Muzeum Pocztowe czy Ministerstwo Poczt i Telegrafów, albo też osoby, którym nie zależy na nagrodach).

W konkursie: I klasa. Polska. Grupy: 1) zbiory znaczków czystych, 2) zbiory znaczków używanych, 3) zbiory znaczków czystych i używanych, 4) znaczki na listach, 5) zbiory specjalizowane i badawcze, 6) całostki, 7) ostemplowania i stemple przedznaczkowe. Klasa II: Państwa rozbiorowe i sukcesyjne: grupy: 1) Austrja, Węgry, Bośnia, poczty polowe, Czechosłowacja i Jugosławja, 2) Niemcy, plebiscyty, Gdańsk, 3) Rosja, Finlandja, Ukraina, Litwa, Łotwa, Estonja. Klasa III: Inne kraje europejskie, tudzież ich kolonje (zbiory ogólne i specjalizowane).

Klasa IV: Zamorszczyzna (mała uwaga à propos tego wyrazu: nie jest on wprawdzie zbyt trudny dla giętkiego polskiego języka, ale brzmi tak podobnie do słowa włoszczyzna — nie jest ono zresztą słowem logicznie ścisłem, bo np. Anglja leży za morzem, a do Pekinu znów można dojechać koleją, czy dlatego, że Niemcy mówią „Übersee" — myteż mamy iść za złym przykładem?).

Klasa V: Zbiory ze szczególnego punktu widzenia. Grupa: 1) Zbiory znaczków lotniczych. 2) Zbiory bloków. 3) Zbiory znaczków wystawowych i pamiątek filatelistycznych. 4) Znaczki stemplowe i telegraficzne. 5) Zbiory znaczków zestawione z innego punktu widzenia.

Klasa VI: Zbiory młodocianych. Grupa: 1) do lat 15. Grupa: 2) od lat 15 do 18.

Klasa VII: Literatura, wydawnictwa i przybory filatelistyczne.

W następnym „Kąciku" podamy dalsze szczegóły, a niezależnie od tego czy ktokolwiek bierze udział czy też chowa zazdrośnie swe skarby — radzimy przygotować wszystkie duplikaty, bo „kącik wymiany" na wystawie będzie się cieszył napewno wielkiem powodzeniem.

Nasze hasło w tym miesiącu: „do zobaczenia w Warszawie 3 maja!"

W. H.

Dokończenie ze str. 36.

zachowaniem barw i deseni. Wszystkich próbek podano dla przykładu 16. Osiem z nich oznaczono cyframi arabskiemi, osiem zaś pierwszemi literami alfabetu japońskiego t. zw. „iroha", a więc: i, ro, ha, ni, ho, he, to, ci. Wszystkie materjały są wełniane. Najciekawszem jest to, że wszystkie próbki przeznaczono zgóry dla wieku kobiet. I tak kimono oznaczone jedynką jest przeznaczone dla Japonek w wieku od 24 lat do 27 (28), dwójką dla pań od 26 do 30, trójką — od 22 (23) do 26, czwórką — od 16 (17) do 20, piątką — od 18 (19) do 24 (25), szóstką — od 27 (28) do 34) (35), siódemką — od 20 do 24 (25), a ósemką — od 28 (29) do 34 (35). Podobnie „poszufladkowane" są materjały oznaczone literami. Przy ostatnim oznaczonym literą „ci" zamieszczono uwagę, że nadaje się on dla panów lub starych kobiet.

Niewątpliwie wiele z tych próbek spodoba się i naszym paniom, z wyjątkiem tej ostatniej, oznaczonej literą „ci"...

Ten.

Rozwiązania Nru z 15-go.

PAN KANAREK I PAN WRÓBEL.

Pan Wróbel ma 27 lat.

W STOŁOWNI.

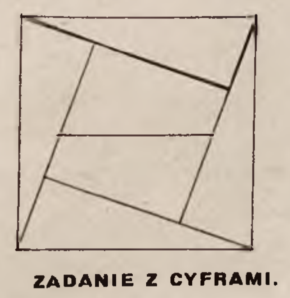
Wszyscy stołownicy schodzą się razem co 420 dni.

SKŁADKA NA BIEDNE DZIECI.

Siódmy pan ofiarował 13 zł i 50 gr.

UKŁADANIE KWADRATU.

Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.



ZADANIE Z CYFRAMI.

50123
49876
———
247

PŁÓTNO ARTYSTY.

Płótno artysty musi mieć 10 cm szerokości, a 20 cm długości, sam obrazek natomiast 6 cm szerokości i 12 cm długości.

MNOŻENIE.

142,857.

MOTORÓWKA.

Motorówka przepłynęła 120 km w każdą stronę.

TRZY LICZBY.

1+2+3=6; 1×2×3=6.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ŁÓDŹ NA RZECE.

Płynąc przeciw prądowi, którego szybkość wynosi 3/4 km/godz., można się dostać łodzią z A do B w ciągu 9 minut. Wiosłując zaś z prądem, odległość z B do A przepływa się w ciągu 7½ minuty. Jaka jest odległość z A do B?

PIĘCIU CHŁOPCÓW.

Pięciu chłopców zdawało egzamin z czytania, pisania, arytmetyki, geografji i historji. System ocen był prosty. Przyznawano ogółem tylko 10 stopni z każdego przedmiotu i dzielono je między chłopców. Następnie ogłoszono ogólny wynik egzaminu. A więc pierwszy był Paweł, drugi Wacek, trzeci Fredek, czwarty Cyryl, piąty Olek. Każdy z chłopców był pierwszym w jednym z pięciu przedmiotów. Ani razu dwóch chłopców nie otrzymało tego samego stopnia z tego samego przedmiotu. Olek był pierwszym w historji, Wacek — z geografji, Fredek najlepiej czytał i otrzymał ten sam stopień z pisania, co i z arytmetyki, i ten sam stopień z geografji, co i z historji. Cyryl był najlepszy z pisania, a trzeci z arytmetyki. W czytaniu Olek był drugi, a Paweł trzeci. Wacek nie był najsłabszym z niczego. Z dwóch przedmiotów natomiast Wacek był lepszy od Pawła. Olek dostał taki stopień z jedngo z przedmiotów, jaki otrzymał z sumy stopni z czterech pozostałych. Jakie stopnie otrzymał każdy chłopiec z pięciu przedmiotów?

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Pietr Benoit „TOWARZYSZE ODYSSA". „Towarzysze Odyssa" przenoszą nas w atmosferę wojowniczych republik południowo-amerykańskich. Benoit potrafił nadać swej fantastycznej republice koloryt autentyczny; naczelna postać „zbawcy" — El Salvador — generała Ruiza — to pean na cześć bohaterstwa, a piękna Angelika — to nowe wcielenie niezapomnianej królowej Atlantydy. Historja „towarzyszy" Odyssa-Ruiza, jego walki o wolność, walki z przemożnym czarem Angeliki mienią się barwami bogatej palety Benoita. —

Czesław Straszewicz „PRZEKLĘTA WENECJA". „Przeklęta Wenecja", to powieść psychologiczna o szeroko zakrojonych ambicjach. Główną sprawą jest tu problem krwi: krew dzieli i łączy ludzi, ludzie duszą się pod jej magicznemi wpływami... Jest granica polsko-niemiecka, są zadrażnione sprawy z nad tej granicy, jest Genewa z intrygami rozbrojeniowemi... I jest smutny, żałosny romans...

J. Straszewski „ŻYCIE CODZIENNE I ŚWIĄTECZNE WASZMOŚĆ PANA I JEJMOŚCI JEGO MAŁŻONKI". Książka ta daje obraz codziennego życia naszych przodków — nie tych wielkich czy wyidealizowanych, lecz przeciętnych, ze wszystkiemi charakterycznemi wadami. Widzimy ich przy stole, kielichu i zwadzie, przy robieniu toalety i sprawowaniu czynności publicznych, w domu, w podróży i w gościnie. Na tem tle uwydatnia się bujny temperament i dwoistość natury ówczesnych Polaków, ich szeroki gest i zamiłowanie do zbytku, idące nierzadko w parze ze skąpstwem i chciwością, ich ruchliwość, łącząca się z powolnością w załatwianiu każdej sprawy, ich fantazja i krewkość... Książka ta odzwierciadla nie tylko życie w dawnej Polsce; w wielu wypadkach sięga do innych krajów, by wydobywszy stamtąd garść ciekawych szczegółów, porównać obyczaje obce z naszemi.

NA SCENIE.

WARSZAWA. Teatr Narodowy wystawił **„Cyrano de Bergerac"** Rostanda. W roli Cyrana ujrzeliśmy Jerzego Leszczyńskiego który z największą werwą wygrał scenę prezentacji Gaskończyków oraz scenę balkonową. Wybornie spisała się jako Roksana p. Zofja Kajzerówna: grała z dystynkcją i umiarem. Wyśmienitą sylwetkę stworzył p. Łapiński jako restaurator. Zelwerowicz (Montfleury), Kossocka (Liza), Białoszczyński (hr. de Guiche), Sulima (ochmistrzyni) — oto najlepsze kreacje w tej sztuce. Interesującą oprawę dekoracyjną opracował Andrzej Pronaszko.

W rewji wiosennej w Cyruliku Warszawskim p. t. **„Oś Cyrulik—Warszawa"** wyróżnia się Lena Żelichowska. Każdy jej występ budzi żywe i zasłużone oklaski. Prócz niej należy wymienić Stefę Górską i Jarossyego, jako konferansjera.

KRAKÓW. Po wielu latach niegrania na scenach polskich dyr. Frycz wprowadził na deski krakowskiego teatru **„Fedrę"** Racine'a we własnej inscenizacji i reżyserji. Stylizowane dekoracje i kostjumy miały dużo ciepła. W roli tytułowej wystąpiła wyborna artystka p. Zofja Jaroszewska, dając kreację nawskroś zindywidualizowaną i niejako nowoczesną, jeśli idzie o sposób ekspresji. W innych rolach zasłużyli na szczególne uznanie: p. Stefan Czajkowski jako Hipolit, p. Wacław Nowakowski jako Tezeusz, Antonina Klońska jako Enona. Zresztą wszyscy wykonawcy dobrze wywiązali się ze swych ról.

WILNO Teatr Miejski skorzystał z gościnnych występów Cecylji Niedźwieckiej i Mieczysława Węgrzyna, aby wystawić **„Wielką miłość"** Molnara w starannej reżyserji dyr. Szpakiewicza. P. Szpakiewiczowa była pełną umiaru Ekscelencją, a p. Michalska miłą Ireną.

J.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 17 kwietnia.

9.00 Transmisja z Watykanu uroczystości kanonizacyjnych bł. Andrzeja Boboli.
12.20 „Świąteczne nastroje" — koncert.
14.30 „Prosimy na pisanki i z masełka baranki" — wesoła audycja dla dzieci.
17.30 „Wielkanoc wileńskiego djabła" — słuchowisko.
20.00 „Wielkanoc na lądach i morzach" — audycja muzyczno-słowna.
21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.

Poniedziałek, 18 kwietnia.

11.10 „Przyszliśmy tu po dyngusie" — audycja muzyczno-literacka z Poznania.
15.00 „Dyngus, śmigus" — audycja słowno-muzyczna.
16.30 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.00 „Słynni wirtuozi" — (XVIII audycja).
20.15 „Wesoła wdówka" — operetka Lehara.

Wtorek, 19 kwietnia.

15.45 „Rzeczy ciekawe z 5 części świata" — audycja dla dzieci.
17.15 Koncert Orkiestry Wileńskiej.
19.00 „Nieśmiertelne książki" — wiecz. XIV „Don Juan".
21.00 Koncert symfoniczny.

Środa, 20 kwietnia.

16.15 Łódzka orkiestra salonowa
17.50 „Przygotowanie młodzieży szkolnej do obrony kraju we Włoszech" — odczyt.
18.10 Koncert zespołu „Light Opera Company" (płyty).
19.35 O czynach nierozważnych — mówić będzie prof. Tadeusz Kotarbiński.

Czwartek, 21 kwietnia.

11.15 Polska w polonezach Chopina — poranek muzyczny dla szkół powszechnych.
11.40 Fryderyk Flotow: fragmenty z op. „Marta" (płyty).
16.15 Koncert muzyki operowej.
19.00 Słuchowisko „Ifigonia" — tragedja Eurypidesa.
22.00 Twórczość Karola Szymanowskiego.

Piątek, 22 kwietnia.

11.40 Śpiewa Teodor Szalapin — (płyty).
16.15 Koncert orkiestry dętej.
19.00 Teatr Wyobraźni: „Mistrzyni" czyli „Komedja miłości i cnoty".
20.00 Cavallier: wiązanka melodyj z komedji muzycznej „Domino lila".
20.30 Koncert europejski z Norwegji (z Oslo).

Sobota, 23 kwietnia.

15.45 Słuchowisko dla dzieci: „Pasterka i kominiarczyk".
16.15 Utwory Benatzkiego i Stolza — koncert.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Muzyka taneczna.
22.15 „Święty Jur — grom wiosenny" — aud. liter.-muzyczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.